



6
**ZŁAPAĆ
INNEGO
POWIE-
TRZA**



7
**SZUKANIE
POŻYT-
KÓW**



11
**STACH
KONWA**



13
**MIASTO
Z GWIAZ-
DA**

CZYTELNIA WBP

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

5
KONTAKTY
27 VII 80
CENA 4 zł



Wypadek

TOMASZ PIOTROWSKI

(Szelest, trzask zapalanej zapalniczki)
KOBIETA: Słuchaj, no więc, no, nie wiem naprawdę, jak to zacząć (westchnienie, prawie na szlochu). Więc... to było dwudziestego ósmego, w sobotę po południu. Byliśmy dzień przed wyjazdem z wczasów. Był obóz żeglarski z Łodzi, z kadrą wykwalifikowaną, instruktorską, z patentami... Sternik starał się zabrać na przejażdżkę mnie, męża i sześciolatnie dziecko, małżeństwo z Gdańska z czteroletnim chłopczykiem. Przy czym wachtowy radził dzieci zostawić na brzegu, ponieważ ta łódź jest przystosowana dla mniejszej ilości osób, a poza tym wiadomo, jak jest z dziećmi. Byliśmy gotowi te dzieci zostawić, nikt się nie upierał, ponieważ, no, wiadomo, jakie są względy bezpieczeństwa. I... kiedy zgłosiliśmy się już do tego rejsu, sternik oświadczył, że zabierze dzieci, żeby im zrobić frajdę po prostu. W ogóle myśleliśmy, że będzie nas wozili w zatoczce, że to będzie tylko przejażdżka dla dzieci, krótka, natomiast on wypłynął na... środek jeziora. Była bardzo wietrzna pogoda, duża fala... no, niebezpieczna pogoda dla żeglowania (westchnienie). Jakoś tknęło mnie — nałożyłam dzieciom kapoczeki, sprawdziłam jeszcze zawiązania, bo ciężko było zawiązać, były krótkie te... sznurówki...
(Zmiana planu; plusk wody, łopot żagli)

REPORTER: Pan długo żegluje po Mazurach?

ŻEGLARZ I: Prawie dwadzieścia lat. Jezioro Mikołajskie jest bardzo zdradliwym jeziorem jeśli chodzi o wiatr, dlatego, że tam wiatr tak często zmienia się i przychodzą czasem silne podmuchy. Spotykają się tam prądy powietrzne — po pierwsze — znad Sniardw, gdzie zazwyczaj wieje dość silny wiatr, no i tam jest takie przewężenie. I przez to przewężenie bardzo często właśnie wchodzi ten wiatr ze Sniardw. Z kolei, po lewej stronie jak się ze Sniardw wychodzi na Mikołajskie, jest jezioro Beldan, i tam są bardzo wysokie brzegi, i dosyć wąskie ono jest, i w związku z tym jak wieje wiatr prosto od Sniardw, wchodzi w tę rynnę i zmienia kierunek, dlatego że tam jest bardzo wysoko i tworzy się taka dysza. To trzeba właściwie cały czas uważać i trzeba wiedzieć, że to jest miejsce takie dosyć niebezpieczne (plusk wody).

CIĄG DALSZY NA STR. 9

co komu w duszy gra

HELENA
KOWALIK

To na Przybyszewie — odgaduje taksówkarz, gdy zająknęłam się, niepewna nazwy ulicy. I rusza z ledwo skrywaną złością. — Spadochroniarze, psia-krew — wyrzeka przez całą drogę — zabrali porządnym łomżyniakom mieszkania, przez nich moja córka gnieździ się na Jatkowej. Bloki miała dostać już w zeszłym roku, wypisali jej to na papierze. „Stolica województwa — przedrzeźnia urzędniczkę w spółdzielni —

potrzebuje kadry z całego kraju. Nie możemy pozwolić, aby potrzebną nam specjalistą przez rok kwatrowali w „Polonezie”. Wielka mi kadra — prychna i bierze zakręt na czwartym biegu, aż piszczy opony. — O tej doktorce czytała pani w „Polityce”?

— Pan ją zna?

— Osobiście nie, ale mało to ja podobnych rozmów nasłuchuję się

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

Publikacja

Bliskie więzi łączą od kilku lat bułgarski okręg Widin z województwem łomżyńskim. Ich wyrazem jest rozwijająca się w wielu dziedzinach współpraca między oboma regionami oraz przyjacielskie wizyty przedstawicieli regionalnych władz politycznych i gospodarczych. Z okazji Święta Odrodzenia od 19.07 do 22.07 gościła w Łomżyńskim delegacja Okręgowego Komitetu Bułgarskiej Partii Komunistycznej, w skład której wchodził: Christofor Iwanow — I sekretarz OK BPK, Kirył Petkow — sekretarz Miejsko-Gminnego Komitetu BPK w Widinie oraz Christofor Cankow — dyrektor Zakładu Mleczarskiego w Widinie. Bułgarscy goście wzięli udział w uroczystej sesji WRN, która stanowiła centralny punkt obchodów 22 lipca w naszym województwie. Na sesji Christofor Iwanow przekazał społeczeństwu Ziemi Łomżyńskiej serdeczne pozdrowienia od wszystkich ludzi pracy okręgu Widin oraz życzenia dalszych sukcesów w rozwoju regionu. Przekazał on także dar bułgarskich przyjaciół — pierwsze Georgi Dymitrowa.

Podczas wizyty delegacja bułgarska zapoznała się z problematyką rozwoju województwa łomżyńskiego oraz wymieniła doświadczenia z kierownictwem partyjnym i administracyjno-gospodarczym naszego regionu. Zwiedziła także niektóre o-

ODWIEDZINY PRZYJACIÓŁ

biętki produkcyjne (Zakłady Płyt Włókowych w Grajewie, Kombinat Łakarski „Wizna” i Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego). Goście z okręgu Widin przebywali także w Małym Płocku, gdzie zapo-

znali się ze szkołą i złożyli kwiaty pod pomnikiem Braterstwa i Wdzięczności w Nowogrodzie. Wizyta bułgarskich przyjaciół była ważnym wydarzeniem dla województwa łomżyńskiego i okręgu Widin.



Od prawej: I sekretarz KW PZPR w Łomży — Waldemar Szpaliński, sekretarz KW PZPR — Teresa Kazimierzczuk, oraz I sekretarz OK BPK w Widinie — Christofor Iwanow, na meczu reprezentacji juniorów Polski i Bułgarii.

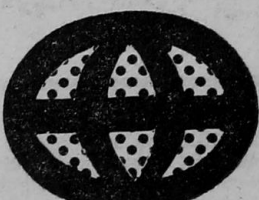


Z udziałem władz politycznych i administracyjnych województwa oraz przebywającej z przyjacielską wizytą w Łomżyńskiej delegacji OK BPK Widin, w Łomży — z okazji Święta Odrodzenia — odbyła się uroczysta sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej. Wręczono na niej odznaczenia za całokształt pracy zawodowej i działalności społecznej, nadane na wniosek władz województwa przez Radę Państwa. **KRZYŻE KAWALERSKIE ORDERU ORODZENIA POLSKI** otrzymali: Jan Brzózka, Donata Godlewska, Aleksander Jankowski, Zofia Piekarska-Regalska, Krystyna Skrodzka. **ZŁOTE KRZYŻE ZASŁUGI**: Henryk Leszczyński, Stefan Morysewicz, Zbigniew Radomski. **SREBRNE KRZYŻE ZASŁUGI**: Jadwiga Drobińska, Kazimierz Murawski, Włodzimierz Rakowski, Stefan Smakowski, Jerzy Szymanowski. **BRAZOWE KRZYŻE ZASŁUGI**: Ryszard Kasperski, Stanisław Łoziński, Andrzej Michta, Krzysztof Radziszewski, Paweł Rozynek.



BIURO POLITYCZNE zwróciło się z apelem do mieszkańców województwa dotkniętych powodzią o uchronienie — tam, gdzie jest to możliwe — produkcji roślinnej oraz paszy zielonej z łąk i pastwisk, a także o zapewnienie niezbędnych warunków dla utrzymania stanu pogłowia zwierząt inwentarskich.

Z ARTYKUŁU REDAKCYJNEGO



189 ZAMACHU STANU dokonano w 155-letniej Boliwii. Trzyosobowa junta wojskowa zmusiła tymczasowego prezydenta, panią Lidie Gueiler, do przekazania władzy, oświadczając, iż „powstanie” wymierzone

Po raz pierwszy Prezydium WRN nadało odznakę zbiorową „ZA ZASŁUGI DLA WOJEWÓDZTWA ŁOMŻYŃSKIEGO”; otrzymały ją Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji Październikowej oraz Zespół Szkół Ogólnokształcących im. Tadeusza Kościuszki w Łomży. Odznakę tę przyznano także osobom, które wyróżniły się wieloletnią wzorową pracą zawodową i działalnością społeczną. Do „KSIEGI ZASŁUGOWYCH ZIEMI ŁOMŻYŃSKIEJ” wpisani zostali przez Prezydium Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu obywatele, którzy wnieśli wybitny wkład w rozwój społeczno-gospodarczy i kulturalny województwa. (Listę wyróżnionych osób zamieścimy w następnych numerach).

Z APELEM do zakładów pracy i całego społeczeństwa województwa łomżyńskiego o przekazywanie darów na rzecz ludzi dotkniętych klęską powodzi w innych rejonach kraju zwraca się Prezydium Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej w Łomży (konto PKO: Oddział w Łomży 45519-1065-132).

NA BUDOWIE telewizyjnej stacji przekątnikowej w Łomży kończy się już montowanie segmentów 80-metrowego masztu. Gotowy jest także budynek techniczny, co pozwala mieć nadzieję, że jeszcze w tym roku audytor II programu TVP dotrą do wszystkich abonentów w województwie.

„TRYBUNY LUDU”: „W tej dekadzie po okresie pomyślności, od mniej więcej połowy dziesięciolecia mamy do czynienia z narastającymi trudnościami, których konsekwencje — nie zawsze możliwe do przewidzenia — są i będą różne, powodują konieczność wielokrotnienia wysiłku w celu utrzymania osiągniętej już pozycji i poziomu rozwoju (...). Rzeczowa, spokojna i konkretna rozmowa o stanie gospodarki i jej problemach, o problemach, o rozwoju, jest potrzebna zawsze, a zwłaszcza wówczas gdy chodzi o wprowadzenie do praktyki całego kompleksu niełatwych zmian. Rzecz jednak w tym, że taka rozmowa i dyskusja nie może odbywać się kosztem pracy, nie może zakłócać jej normalnego rytmu. (...) Wszędzie, gdzie tak się stało, choć rzecz dotyczy zja-

jest przeciwko „infantylizmowi ekstremistycznemu” oraz próbom „zaprzeczenia” Boliwii. Junta unieważniła ostatnie wybory, które przyniosły zwycięstwo siłom centrolewicowej, oraz aresztowała postępowych działaczy.

STANY ZJEDNOCZONE są gotowe do rozpoczęcia wstępnych rozmów z ZSRR na temat ograniczenia rozmieszczeń w Europie rakiet nuklearnych — zakomunikował zastępca sekretarza stanu USA, Warren Christopher, na posiedzeniu stałej rady NATO w Brukseli.

RONALD REAGAN uzyskał oficjalną nominację kandydata na prezydenta USA z ramienia partii republikańskiej. Kandydatem na wi-

O BARDZO ORYGINALNY plac zabaw dla dzieci wzbogaciło się osiedle Jantar w Łomży. Jest on dziełem studentów warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, którzy pod kierunkiem Janusza Pastwy wykonali urządzenie, łączące troskę o użyteczność z pięknem formy.

WSTĘPNE SZACUNKI SZKÓD nadmiernych opadów, sporządzone obecnie w gminach wykazują, że m.in. w gminie Rutki pod wodą znalazły się łąki ośmiu wsi. Do stodoł udało się zwieźć na razie tylko 20 proc. siana.

ROZSTRZYGNIĘTY ZOSTAŁ konkurs Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Łomży na reportaż pn. „Łomżyńskie pięć lat po reformie”. Pierwszą nagrodę uzyskał Michał Mońko. Zdobywcami drugiej nagrody są Janusz Atlas i Andrzej Zawisza, a dwie równorzędne trzecie otrzymali Henryk Jabłonowski i Marta Wesołowska. Przyszło także 5 wyróżnień: Ewie Berberysz, Helenie Kowalik, Marcie Miklaszewskiej, Franciszkowi Piątkowskiemu i Kazimierzowi Siemieniace. Prace konkursowe będą drukowane w kolejnych numerach „Kontaktów”. W tym numerze — reportaż Heleny Kowalik.

W rozegranym 19 lipca meczu pomiędzy reprezentacjami juniorów Polski i Bułgarii padł wynik 1:2 (1:0). Bramki zdobyli: dla Polski — Joachim, dla Bułgarii — Stefanow oraz Todorow. Mecz prowadził pan Alojzy Jarguz.

wisk o ograniczonej skali i wynikających z różnych przyczyn, sytuacji nie można uznać za normalną. Jest to bowiem droga donikąd, droga pogłębiająca nasze trudności, droga strat gospodarczych i moralnych”.

O 2600 TYSIĘCY METRÓW KW. zmniejszony został plan budownictwa mieszkaniowego w br. Urealnienie zadań jest wynikiem „poślizgów” ubiegłorocznych oraz trudności, jakie napotykają budowlani: braków w zaopatrzeniu i zatrudnieniu oraz w dostawach środków produkcji.

POLSKA ZNAJDUJE SIĘ na trzecim miejscu (z ilością 14,7 miliona ton) wśród socjalistycznych importerów ropy naftowej z ZSRR. Wyprzedzają nas CSRS (19,1) i NRD (18,6).

ceprezydenta został, po nieudanych zabiegach Reagana, by pozyskać Geralda Forda, Georg Bush. Konwencja republikańska w Detroit przebiegała w atmosferze ofensywy konserwatyzmu.

PAKISTAN ODRZUCIŁ propozycję podjęcia bezpośrednich rozmów z Afganistanem w sprawie stworzenia warunków, które umożliwiłyby ewakuację wojsk radzieckich z tego kraju.

PREZYDENT CARTER podjął decyzję o dostarczeniu Wielkiej Brytanii rakiet typu „Trident”, uzbrojonych w głowice nuklearne.

ZENKO SUZUKI (lat 69) został nowym premierem Japonii.

dwadzieścia tydzień ekonomiki



MAJTKI TURYSTYCZNE

Łomżynianka Jolanta Z. postanowiła spędzić urlop za granicą. W bór jej padł na słoneczną Bułgarię.

Normalne w takich przypadkach czynności, jak załatwianie formalności w biurze podróży, wizyta krawcowej i fryzjera, zostały spełnione inną krzątanią. Po pierwsze — pani Jola odwiedziła sklep z artykułami kosmetycznymi i opatrzyła się w nie mniej, niż w tej, tylko 260 sztuk różnych kremów, szminek do ust i innych kosmetyków. Po drugie — zawędrowała do sklepu z kosmetyką i nabyła tam nieco przypraw jak na potrzeby urlopowe, a (100 sztuk) reform damskich, trzecio wreszcie — sobie tylko nymi kanałami zdobyła kilkanaście setek rubli.

Ten „turystyczny ekwipunek” przyniósł pożytku. Władze skonfiskowały kosmetyki i majtki, wszczęły postępowanie karne-skarbowe w sprawie nielegalnego wywozu obcych walut.

Powyższy przykład wziętem z świeższych kronik urzędów celnych. Inicjały nazwiska są zmienione, opowieść dotyczy rzeczywistej, udokumentowanej z grodu nad Narwią.

Nawet w obecnej, trudnej sytuacji gospodarczej popieramy turystykę zagraniczną i przeznaczymy na znaczne środki dewizowe. Dla tysięcy turystów mających nadzieję spędzić urlop w Bułgarii, chosławacji, NRD, ZSRR czy w sławie (z tą ostatnią, dodajmy, wiąże rozliczenie wolno dewiz, a także w innych krajach świata). Jedynie — wobec wygórowanych żądań strony rumuńskiej — nie pisanu umowy turystycznej na bieżący z tym krajem. W roku udało się za granicę 10,3 miliona naszych rodaków; o ponad 2 miliony więcej niż w 1975. Są to głównie wyjazdy do krajów socjalistycznych, ale warto też pamiętać, że wyjazdy do państw socjalistycznych wzrosły — z 10 tysięcy osób w roku 1970 — do 100 tysięcy w roku 1979, i wcale się zanoszą, aby w bieżącym roku wyjazdów tych było mniej.

Zdecydowanie mniej natury powinno być handlowych wyjazdów w rodzaju tej, jaką chciała zrealizować pani Jola. Trzeba stwierdzić, że zmniejsza się liczba ludzi, którzy wyjeżdżają z kraju, aby w wyjazdach z granicę musi być rzyszyć chociażby drobny handel. Sprzyja temu coraz sprawniejsza działalność naszych władz celnych, które skutecznie ograniczają przepływy cwaników i marginesowej turystyki w Polsce dalekie są od pełnego wykorzystania.

Zagraniczne wojaże rodaków jedna strona medalu. Odwrotna jest turystyka przyjazdowa, można zapominać, iż może być poważnym źródłem dewiz, co jest bynajmniej bez znaczenia w sytuacji płatniczej kraju. Wada, iż 1,2 miliona turystów z drugiego obszaru płatniczego przyczyniło nam w ubiegłym roku miliony dolarów.

Jest to, niestety, znacznie mniej, niż osiąga się z tego tytułu z RWPG — Czechosłowacją, nie mówiąc już o Bułgarii. Wciąż ze słowem mamy sami nie wiele kłopotów, wydaje się, że możliwości rozwoju zagranicznej turystyki w Polsce dalekie są od pełnego wykorzystania.

JERZY BIEL

W domu kominiarza wypada chyba mówić o szczęściu, jako że wszelka pomyślność jest pewnie w tych progach chlebem powszednim. Gdy zaczyna jej brakować, pan domu pokręci guzikiem u kominiarskiej bluzy i...

„Tygodnik »Kontakty« jest pisaniem, na które oczekiwało społeczeństwo Ziemi Łomżyńskiej z dużym zainteresowaniem. Stwierdzam, że w pełni zasługuje na słowa uznania za ciekawe wypowiedzi, reportaże itp., wzięte prosto z naszego podwórka. Wszystko mnie w nim interesuje i czytam je od deski do deski. Uważam, że obok przedstawianych pozytywnych postaw ludzkich, powinny padać również słowa krytyki pod adresem postaw negatywnych, z którymi spotykamy się na każdym kroku i które tak utrudniają nam życie codzienne».

ALEKSANDRA PROSZKIN

Wysokie Mazowieckie

„Przeglądając łamy »Kontaktów« uważam, że każdy może w nich znaleźć coś dla siebie, zarówno mieszkańcy wsi, jak i miast. Mam jednak pewną uwagę dotyczącą programu telewizyjnego. Nie mogę korzystać z niego, ponieważ godziny emisji nie odpowiadają w rzeczywistości audycjom telewizyjnym».

BOGDAN PELSZYK

Tworówko (gm. Ciechanowiec)

Od redakcji: niestety, nie mamy wpływu na ścisłość programu, gdyż redakcja TV dokonuje często zmian już po oddaniu numeru do druku. „Od pewnego czasu w Zambrowie rozpowszechniła się gra w »ciuciubabkę« przy zakupie cukru. Np. w czerwcu — na tydzień przed końcem miesiąca — cukru ani śladu, a 30.06. był trochę rano i po południu, by zniknąć do 3 lipca, kiedy można go było zakupić tylko za kartki lipcowe i po 26 zł. Natomiast przedstawiciele handlu stwierdzili autorytatywnie, że nikt nie powinien mieć pretensji, bo cukier był w ciągłej sprzedaży. W efekcie sprzedaży nie przedłużono, więc co z tym fantem robić dalej?»

(nazwisko podano do wiadomości redakcji)

„Mam poważne zastrzeżenia do formy graficznej »Kontaktów«. Czcionka tytułu nie jest czytelna, podobnie jak i inne napisy — chwytliwe i pozbawione. W drugim numerze »Kontaktów« jedynie artykuł »Wabienie magistra« godny jest uwagi, chociaż płytki i skrótowy. Szkoda, że tak mało poświęca się miejsca na rubrykę »Kontakty KONTAKTÓW«.

(podpis nieczytelny)

Białystok

„Po przeczytaniu reportażu Danuty Sobolewskiej i Aleksandra Wroniszewskiego pt. »Człowiek w skansenie« czuję się w obowiązku napisać kilka uwag na jego temat. Autorzy zeszpecili swoją pracę zamieszczając w reportażu kilka nieprzemyślanych insynuacji starego, 85-letniego bajora z Nowogrodu, Ob. Swiderskiego — o nie żyjącym już profesorze Adamie Chętniku. Człowieku nieprzeciętnym — wielkim Polaku, bardzo zasłużonym nie tylko dla Kurpiowszczyzny. [...] Skansen w Nowogrodzie, którego był twórcą, to tylko cząstka jego pracowitego, trudnego życia.

Stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że Adam Chętnik wbrew sformułowaniu zawartym w reportażu, był nie tylko wielkim działaczem-społecznikiem, ale również dobrym ojcem. Pierwsza jego żona Zofia, kobieta inteligentna i wykształcona, nie tylko doceniała jego pracę jako wkład do kultury narodowej, ale również starała się pomagać mężowi. Syn Adama Chętnika, Jerzy, tak brutalnie potraktowany w reportażu, był zdolnym artystą-plastykiem, którego nieuleczalna choroba — rak kręgosłupa (na raka zmarła matka Jerzego i jej brat), przedwcześnie pozbawiła życia».

BOLESŁAW KOZŁOWSKI

Łomża

„Przeczytałem w drugim numerze »Kontaktów«, że sprzedawczyni w księgarni przy ulicy Buczka chowa książki pod ladę. Proszę o poinformowanie mnie o tym, gdzie znajduje się księgarnia na ulicy Buczka. Czy może ulicę Buczka przedłużono i nazywa się jak dawniej ulicą Długą?»

ZENON KALINOWSKI

Łomża

Od redakcji: oczywiście, była to nasza pomyłka, gdyż księgarnia ta znajduje się przy ulicy 22 Lipca.

— Kominiarz ma przynosić szczęście innym, a nie sobie — mówi Lucjan Zukowski. — A my musimy sobie sami jakoś radę dawać, prawda, Irenko? — zwraca się do żony.

— Tak. Człowiek musi własnymi rękami do wszystkiego dochodzić i dzieci do samodzielności prowadzić.

— Wyrosły nie wiedzieć kiedy. Ewa wyszła już za mąż. Irkowi do swojej rodziny nieśpieszno jeszcze. A ja już tak myślę, że dobrze by było z żoną, tylko we dwoje, zostać.

— Dobrze — żartuje Irek — to ja jeszcze dziś się wyniosę! Na spacer albo do kina.

— Kominiarza los nie pieści — zwierza się pan domu. — Musi swoje kilometry po drabinach wychodzić. Ale ja już się przyzwyczaiłem. Zony mi tylko szkoda: od osiemnastu lat pracuje jako kelnerka, ostatnio w jadalni »Matysiakowie«. Nabiega się w tej robocie, nadenerwuje. Ale żeby komuś coś ostrego powiedziała... Broń Boże. W sobie tamsi. Dusza, nie kobieta, to moje ślubne szczęście.

— Gadasz, żeby gadać — obrusza się pani Irena. — Praca jak każda. Przecież nie sama pracuję, a z ludźmi. Jeszcze koleżanki coś sobie pomysły. Nie robię od nich ani więcej ani mniej. Mów o sobie.

— Dławię lat już na robotę chodzę. Godzin wyznaczonych nie mam, zajęcia sam sobie muszę ustawić. Trzeba pukać do drzwi wtedy, gdy ludzie są w domu. Czy kominiarzy z otwartymi rękami wszędzie przyjmują? Tylko z siedemdziesiąt procent osób wita nas uśmiechem. Na przykład niedawno jednemu kolegium musieliśmy założyć. Przychodzę, a on mówi, że dom jest jego i komin ten mu wy-

czyści, kogo on poprosi. My musimy planowo: dzielnicami, ulicami; on tego nie chciał zrozumieć. Strażakom jeszcze, jak do niego przyszedł, naubił. No i zapłacił półtora tysiąca. A należności za czyszczenie przecież niewielkie. Od jednej kuchni i pieca — czternaście złotych i dziesięć groszy; co sześć tygodni.

— Ojciec tylko w Łomży chodzi, a ja mam dwie gminy: Śniadowo i Nowogród, to też się nastucham, że »przyjdzie taki i kwitek wypisze, a na kominach się nie zna« — mówi drugi w rodzie kominiarz, Irek. — Każdy z nas kurs przechodził, i jeszcze trzy miesiące z fachowcem pracować. Dopiero później dyplom czeladnika dostał.

— Fachowiec musi się znać na piecach, przewodach dymnych, wentylacyjnych, i musi o sposobach wiedzieć. Te kapelusze w przewodach (był taki film) to pestka; czasem sąsiad sąsiadowi lejek z papieru w przewody wsadzi albo ścianki komina towotem wysmaruje, i już piec dymi jak diabeł, że tylko z domu ucieka. Niekiedy ktoś do przewodu pióro gęsie włoży, a wtedy gwizdzie w luftach przeokrutnie: ludzie nie mogą telewizji oglądać, dzieci nie śpią. A ja przyjdę, popatrzę, i już wiem! Żeby żyli Jaroński i Jabłoński, którzy jeszcze przed wojną kominiarzami byli (a po wojnie już — Muszyński), ci mogli opowiadać! Teraz jest nas czterech: ja, syn, nasz kierownik Zdzisław Józwiak, i mistrz kominiarski, Artur Tramp. Ale teraz może coś o żonie. Ona, na przykład, w gastronomii pracuje, ale obiady gotuje w domu.

— Mama codziennie rano się zrywa — mówi Ewa. — Biegnie po za-

kupy, a o jedenastej — do pracy. Wraca o siódmej. Ciągłe zajęta. Jak pamiętam, zawsze była taka zabiegana.

— Mama — wtrąca Jerzy, mąż Ewy — wszystkiego sama musi w domu dopilnować. Nie lubi się chwalić, ale w pracy też ją cenią. Ma odznaki wzorowego sprzedawcy.

— Daj spokój. Lepiej powiedz, kiedy kominiarzem zostaniesz — żartuje pani Irena.

— Jak mój »Mostostal« postawi więź telewizyjną.

— A weźmiemy cię, weźmiemy — śmieje się ojciec — do wysokości przyzwyczajony jesteś, a roboty wystarczy. Tylko historię fachu i obyczaje nasze musisz poznać. U nas w rękawiczkach się pracuje, proszę pani, a do domu każdy wraca umyty i w innym ubraniu. Kłopot w tym, że w punkcie wodę mamy zimną; kran i wiadro. Chcieliśmy bojler kupić, ale zezwolenie od wojewody potrzebne.

— Większy kłopot z tym, że coraz ciasniej w mieszkaniu nam się robi. W grudniu już 7 lat minie, jak czekamy na przydział — skarży się Irena Zukowska. — Mam numer 3319; ludzie z dalszymi już mieszkają. Żeby choć jakaś komisja przyszła i sprawdziła. We dwie rodziny przecież mieszkamy! Dość mam też pieców i noszenia węgla.

— Jeszcze trochę takich jak ty, a pozbawicie kominiarzy chleba! Nie jest źle, nie narzekaj. Kiedy oglądam w telewizji, co się dzieje na świecie — te bomby, strzelaniny, porwania — gotów jestem wstać, założyć uniform i powiedzieć do tych ludzi: łapcie za guziki!

TERESA POLECKA
Fot. GABOR LÖRINCZY



los nie pieści kominiarza

co u państwa słychać?



CO komu W duszy gra

penetracje



od gości w taksówce? Przychodzą na gotowe i jeszcze łachę robią — kończy, hamując przed nie otynkowanym wieżowcem.

Chcesz poznać całą Łomżę — zapytał ktoś wysłannika „Polityki” — idź na przyjęcie do doktor Marzec. Tam spotyka się ichnia inteligencja.

Bohaterka reportażu w stołecznym tygodniku, pretensjonalna jak z obrazu Dudy Gracza „Lwica salonowa”, urosła w Łomży do miary symbolu, nowego, opatrzonego dyplomami kołtuństwa.

I mnie, gdy znalazłam się w tym — awansowanym na wojewódzkie — mieście, zapytano podobnie. Dostałam też adres: to samo osiedle, ten sam blok, klatka. Tylko numer mieszkania się nie zgadzał. No i adresat. Miałam zajść do rodziny poety, Jana Kulki.

U Kulków stoi pluszowa kanapa, ustawiona trochę prowokująco, aby przyciągała oczy gości, jeśli tylko zdołają oderwać się od regałów z książkami, gdzie kusi niejednego cymes. Ale siada się na niej nie po to, aby opłotkować miasto, użalić się nad swą zsyłką. U Kulków mówi się o sztuce, poezji, o ostatnich nowościach wydawniczych. Jeśli zaś rozmowa zejdzie na Łomżę...

— Prowincja — powiada gospodarz — to jest to, co ma się w środku.

Ale trzeba zasiedzieć się aż do nocy, aby poeta wyznał, co mu w duszy gra. A widzi mu się zawiązanie wyobraźni tych kilku tysięcy łomżyńskich, którym chodzi o coś więcej niż stanie w kolejkach. Na „ciocinej” kanapie, w przerwach między pisaniami wierszy a mocowaniem się ze szkiełkami powieści, Jan Kulka snuje projekty poruszenia Łomży. Gdy sprzecyzują się nad ranem, gdy wymyśli im dostoyny sztyl, zamawia się u wojewody Clapki lub w Komitecie. Jeszcze nie zdarzyło się tak, aby go nie wysłuchali. Kulkę ciągle zdumiewa fakt, że jego znajomi (ma przecież wielu „robiących w kulturze” znajomych w innych miastach, jak choćby plastyka wojewódzkiego w W.) wciąż się skarżą, że mieszkańcami antyszamburują pod gabinetem władzy.

Tymczasem jego pomysły kupowane są — odpukać — jak ciepłe bułeczki. Pod jednym tylko warunkiem: jeśli nie będzie żałował własnego czasu (nigdzie nie jest na etacie) na dopięcie wszystkiego do końca. I on się zgadza, bo wówczas ma pewność, że impreza, często budowana wyłącznie na towarzyskich kontaktach, wypali.

Postanowił, na przykład, zorganizować wieczór poezji i malarstwa. Wiersze poetów łomżyńskich mieli czytać warszawscy aktorzy, między innymi Holoubek. Ekspozaty, potrzebne do dyskusji o sztuce, przyniósł z własnego mieszkania. Gdy wszystko było gotowe, impreza miała stosowny patronat (ZSMP), nagle wynikł poważny problem: jak Łomża Łomża, na tak ekskluzywnie imprezy szło się z imiennymi zaproszeniami. Do kogo więc wysłać bilecik, tak żeby nie pominąć nikogo ważnego i żeby przyszli ci, którzy nie wyjdą w połowie, nie zwichną sobie szerek od ziewania. Wówczas Kulka: — Adresy na zaproszeniach wypiszemy z książki telefonicznej. Nikt nie zorientuje się, według jakiego klucza je rozesłano: będzie pole do domysłów i okazja do starań wśród pominiętych o umieszczenie ich na liście w razie organizowania kolejnego wieczoru.

Znajomość klimatu niezbyt dużego miasta Kulka przywiózł z Kłodzka, gdzie mieszkał kilka lat. Tam też nie siedział za piecem: rozkreślił imprezę pod tytułem „Kłodzka Wiosna Poetycka”, słyhać było o niej w kraju. A miasto w kotlinie zamienił na płaską Łomżę, bo tak poradził mu lekarz. I ma, czego szukał — zdrowszy klimat. Wszystko inne, powiada, co na niego spadło, jest już niespodziewaną premią. Niczego więcej sobie nie obiecywał.

— Naprawdę — dopytuje się niewinnie — żadnych rozczarowań?

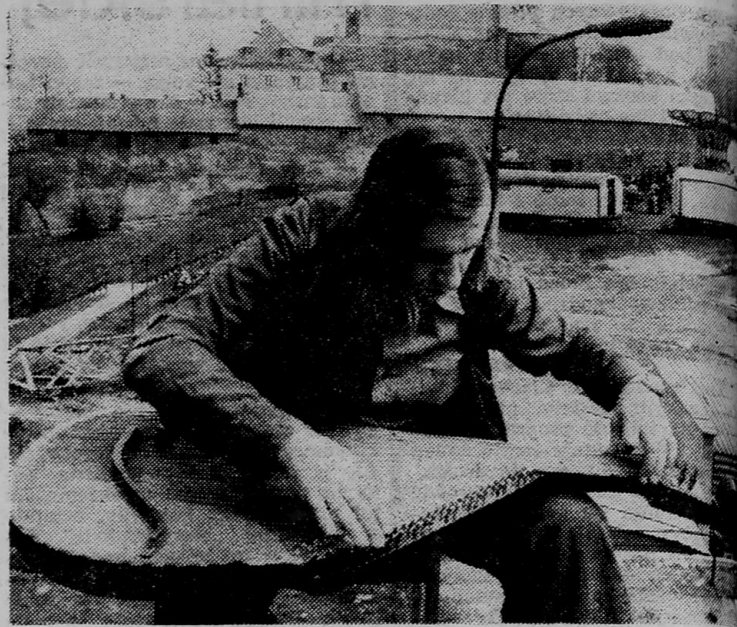
— A on przenosi wzrok na żonę i śmieje się do niej oczami.

— Udało mi się — mówi — mam dom, dzieci. Frustracja? Nie znam. Raczej — rozdarcie.

Bo chciałby pisać, nosi w sobie tę powieść; wie też, że zdrowiej byłoby dla niego, gdyby utknął przy biurku, zapełniając kartki. Ale nie potrafi tak odgrodzić się od

świata. Już mu chodzi po głowie kolejny pomysł „Zeszytów Literackich”. Rozmawiał z potencjalnymi autorami, namawiał, aby nie pisali obło, bo to ma być zeszyt-manifest, zeszyt-credo kulturalnej Łomży. Niechby był śmielszy od tego pierwszego. Niech sobie poczyta władza, mieszkańcy i ci wszyscy, którym — w odróżnieniu od bywalców salonu doktor Marzec — zależy.

— Jeśli przyłoży się — zaciera ręce Kulka, przeglądając maszynopisy — można z tych publicznie czynionych wyznań zrobić taki gejzer, że ho!



Świadomie, czy nieświadomie autorzy „Zeszytów” sprzedają siebie, swój sposób myślenia, widzenia Łomży. Też biadola, ale w jakże różnym stylu. Plastyk wojewódzki, Wiesław Sielski, ma na przykład zwyczaj ukrywać się za tarczą języka „ibłowskiego”. On nie mówi, on stwierdza: „Rozważając poziomy uczestnictwa publiczności w procesach dochodzenia do jakości estetycznych, należałoby stwierdzić, że świadomość społecznych funkcji sztuki i znajomość sztuki współczesnej, rozumiane jako determinanty warunkujące aktualny obraz kultury artystycznej, są w Łomży niedostateczne”. Wiesław Sielski, który przybył ze Śląska, próbuje przyszczepić na łomżyński grunt katowicką estetykę. Stąd żarliwe namawianie władzy do tworzenia różnych centrów. Zdaniem wojewódzkiego plastyka — w Łomży powinno powstać Centrum Plastyków, Centrum Młodzieżowe, Centrum Percepcji Kultury w Ogóle, ze sztabem naukowców różnych specjalności: etnologów, socjologów, archeologów. Oczywiście, wszystko o zasięgu daleko poza rogatki województwa... Rozbucaniu Sielskiego sprzeciwia się jego kolega, kierownik Biura Wystaw Artystycznych, Andrzej Szufarski. Ten zwykły wypowiadać się szeptem, ale jakże dramatycznym: „Osamotnienie artysty — pisze w „Zeszytach” — jest w tym mieście cechą wręcz patologiczną. Chyba zasadnicze znaczenie ma senna atmosfera, ogarniająca działaczy i twórców. Jest zastanawiające, dlaczego w dużej ilości działań kulturalnych tak mało imprez zyskało rangę autentycznych wydarzeń artystycznych, będących propozycją pobudzającą do uczestnictwa w nich plastyków i odbiorców. Kto tu ma być dynamitem?”

Gorzka to pigułka dla wicewojewody Kazimierza Clapki, który czuje się odpowiedzialny za kulturę w Łomży. I robi, co może. Zalałwil przecież dla dwunastu plastyków przydziały mieszkań, wyrwał je ludziom długo już czekającym w kolejce po klucze. Zalałwil też pracownie. I — ciągle za mało. Szufarski frustruje się, że musi sam przybijać gwoździe w BWA, aby zawiesić na nich obrazy Pióciennika. Inny plastyk, wyraźnie chałturzący na etacie dekoratora wystaw, publicznie szarpie na sobie szaty wyrzekając, że... zmusza się do uprawiania sztuki socrealistycznej.

Ale wojewodzie nie wolno się obrażać. Dobrze wie, że wówczas przegrałby z kretelem. Tak już jest, że kulturę robi się ludźmi niespokojnymi, nieugładzonymi, o szalonych pomysłach. Polyka więc

Kazimierz Clapka tę pigułę i głuchy na protesty księgowej przydziela etat fizycznego do BWA. Bez drgnienia powieki nachyla ucha do Sielskiego, gdy jada Ciecchanowca na Agrofilm. Wiosnę. Wojewódzki plastyk wcale nie zastanawia się, jak rozszarpać artystyczne konfrontacje studentów ASP. Mocno chodzący po ziemi cewojewoda mógłby zachnąć słysząc, że będzie to „okazja do wymiany myśli teoretycznej w ramach tematu: nowa sztuka, nowa estetyka, wokół sporów o przedmiot refleksji estetycznej i jego miejsce w świadomości społecznej”.

Ale przecież ma w pamięci taki jeden udany przegląd; udawbrow zastrzeżeniem osób mających coś na ten temat do powiedzenia włącznie z rektorem ASP. (Rektor Łomnicki: — Wparował kiedyś mego gabinetu młody człowiek, skórzanej kurtce i mówi, że przyszedł piątek musi mieć w Łomży moich najlepszych studentów bo on robi przegląd. Dlaczego Łomży, pytam, przecież ja mam nagrane przedstawienie. Ale myślałem, że zaprogramowali! — słyszę w odpowiedzi).

Zyczliwość wojewody Clapki tych z głową w chmurach jest tyle spontaniczna, co wykalakulowana.

— Rzecz w tym — powiada, aby twórcy, biorąc na warsztat, co mogliśmy im dać (rzeczywiście małego, w końcu, województwo stworzyli propozycje warte charakterystyki nas jako coś więcej niż jednostkę administracyjną, jako region, który ma aspiracje historyczne).

Z tego zrodził się pomysł Drozowa, dosyć nieprawdopodobny: zakalizowanie na jednym skrawku ziemi kilku pisarzy. aby ciągnęli z tej ziemi soki.

Czy praktyka potwierdziłaby te teoretyczne koncepcje? Wiosnę nad Narwią mieszka dziś, no, prawie mieszka, trzech dzi pióra. Ale aby mógł pisać zapis zmian zachodzących w Łomży — drozdowski eksperyment nadal jest do spełnienia, przecież — bronią się gospodarze województwa — nie była to pozycja koniunkturalna. Choć wolała tyle różnych, złośliwych komentarzy. Inna rzecz: powstawały one głównie w Warszawie; w Łomżyńskim osiedli twórcy (co prawda z innej dziedziny) już się zdarzyły. W 1978 roku, gdy tylko powstało województwo, wrócił po studiach w Warszawie do rodzinnych Puchal Stanisław Lutostański. Przez Łomżę przejechał furmanką, na której wiozł prace dyplomowe: wielkie, wyrzeźbione w drzewie, postaci matki.

W tym też czasie po zaściankach łomżyńskich krążyła ze swym trem Ewa Benesz, aktorka od Łomżyńskiego. Później mieszkała w Drozdowie poety z Warszawy i krytyka z Warszawy nie to już taką sensacją. Nikt nie wie, co będą robić w tych swych willach i nowo wybudowanych domkach. To oni czuli potrzebę usprawiedliwienia swej obecności.

Z największą swadą wyłożył Piotr Kuncewicz: „Impuls artystyczny, zdaje się w ostatnim



*

Czas oczekiwania na usunięcie usterki samochodu w łomżyńskim „Polmozybie” jest dziesięciokrotnie dłuższy od czasu jej usuwania.



Nadmiar pomieszczeń w Łomży sprawił że pozostawiono na pastwę czasu i dzieci solidny młyn przy ul. Wojska Polskiego. Może jednak znalazłoby się dla niego jakieś skromne przeznaczenie; zaraz: czy w mieście tym czegoś brakuje? Może tylko łaźni publicznej...



Apelujemy do człowieka, który urządził tu pod oknami bloku nr 29 przy ul. Wojska Polskiego kort tenisowy — aby przeniósł się pod swój blok i jak najbliżej własnych okien.



Czego się nie robi dla naszych pociech! Żeby miały jeszcze jedną przyjemność — sklep monopolowy przy ul. Wojska Polskiego zlokalizowano 5 kroków od przedszkola, 20 kroków od żłobka, 50 kroków od szkoły. Niech się maluchy uczą życia. A cóż to za bogata w spiećcia ulica!



Jeśli kupisz w Łomży dziesięć jaj, to wcale nie znaczy, że zrobisz z nich kolację dla rodziny, chyba że jest ona bardzo mała i zadowolili się niewielką ilością jajecznicy, bowiem sklepy nie korzystają z prześwietlarek i połowę zakupionych jaj wyrzucisz do kosza.



W Zespole Szkół Mechanicznych już od sześciu lat przecieka szambo, a jego zawartość spływa strugą po ulicy. Może dobrze by było, gdyby uczniowie po wakacjach już po raz siódmy nie musieli wracać do obrzydliwego życia zapachu?



Rezolutny pomysł na wykorzystanie energii słonecznej zastosowała brygada reperująca chodnik przed budynkiem PKO w Łomży: zalała smołą szczerbate płyty, pozostawiając resztę gorącym promieniem. Ale to nierychliwie wyziera latósza chmurki, przeto do starych dziur przybyło w chodniku kilka nowych, nie mówiąc o asfaltowych pagórkach.



W Łomży są trzy pralnie, w tym dwie — od początku lipca — w remoncie.



Uwaga, zaopatrzeniowcy łomżyńskich instytucji handlowych! Tylko na miejskim targowisku nabędziecie wszystkie deficytowe towary (tzw. podładowe), tylko przygotujcie odpowiednio wyższe fundusze.



Łomżyńskie autobusy zaczęły jeździć stadami — w myśl staropolsko-szlacheckiej zasady: „Kupa, mości panowie”.



Gmina nie jest szpilką w stogu siana, a jednak — jak mówią fakty — można ją zgubić. Co uczcił nasz kolporter, który ani klubowi „Ruchu”, ani jedynemu w gminie Zawady kioskowi nie przydzielił w ogóle „Kontaktów”. Groza nas ogarnia na myśl, że takich gmin-szpilek mogłoby się znaleźć w województwie więcej!



sięciocięciu powoli wygasać i kresu dobiegła pewna droga. [...] Zaś dobiegła nerwowości nie zniknęły i wcale nie zmieniły koloru. Jeśli już nie sprawa narodowa jest przedmiotem nieustannych frustracji, to dzień dzisiejszy niesie ze sobą tyle przemian i przerażenia, że czasy Kochanowskiego znowu przedstawiają się jak raj utracony, choć w innym zapewne sensie. Zrozumieć musimy, co jest warta nieskazana natura, swoboda, nie zatruty oddech”.

Kunciewicz tęskni za światem Kochanowskiego — takim, w którym człowiek nie musi stawać się rozdygotanym nadwrażliwcem, aby wykreślać z siebie całą moc poetycką.

— Nie chodzi o to — tłumaczy przyszedłszy obywatel Drozdowa — abyśmy bezpośrednio przyjmowali warki poety z Czarnolasu. Byłoby to posunięcie omyłne i skazane na niepowodzenie. Zresztą: i całkiem humorystyczne. Jest to raczej horyzont odniesienia, horyzont, który namyślał obowiązek przekraczać. Czy tak się stanie? Czy tych kilku pisarzy, którzy zdecydowali się zamieszkać w Drozdowie, spełni pokładane w nich nadzieje? Czy, jeśli władze pomogą im w szybkim zawieszeniu wiechy, stworzą w rewanżu z tej wsi mały Weimar?

Bo słuchaczy do rozmów z pisarzami w Łomżyńskim stale przybywa. W Szepietowie, w tamtejszym Wojewódzkim Ośrodku Postępu Rolniczego, co roku odbywają się warsztaty poetyckie, organizowane przez człowieka, którego pierwszym obowiązkiem jest dbanie o rozwój specjalizacji w gospodarstwach rolnych, o pokazową hodowlę bydła, trzody. Do otoczonego łańcuchami Szepietowa wydeptało ścieżkę wielu poetów zapożyczonych i debiutantów, którymi zainteresowały się wydawnictwa dopiero wówczas, gdy Łomża stała się województwem. Przyjeżdżali ze swymi najintymniejszymi wierszami i czytali je kursantom racjonalnej hodowli — tłumacząc, dlaczego zamknęli myśl w takim, a nie innym obrazie.

Janusz Berner wystąpił z „Rozmową z synem”: „Nie synu wiersze nie budują domów gniazd na jeden sezon podziemnych przejść do historii [...] Nad nimi i nad nami synu ten sam cień przypominający skrzydło wielkiego ptaka w odlocie. Ziemia zajęta rozmową z innymi planetami nie ma czasu kiedy mówi coraz szybciej niewyraźnie, używa innego języka pisma złożonego z obcych znaków one wracają do swoich pierwotnych siedzib...”

Ale najważniejsze w szepietowskim warsztacie jest może to, że wieczorem, gdy z pół Ośrodka zjeżdżają maszyny i nakarmiony jest inwentarz, wszyscy goście oraz gospodarze siadają pod drzewem i każdy mówi o sobie, o świecie, w którym żyje. Klimat tych wieczorów na przyzbie unosi się nad

Filmową Agrowiosną w pobliskim Ciechanowcu (współorganizatorem jest dyrektor WOPR-u, Jan Holownia) — swoistym spotkaniu fachowców od wyspecjalizowanej gospodarki z kierownikami gminnych świetlic. W nabyty szkoleniowy program jest wkomponowany przegląd najciekawszych filmów o tematyce wiejskiej. Holownia nie jest łomżyńszczyzną — szerokiego widzenia ziemi, na której przyszło mu pracować, nauczył go dr Paweł Olszewski, twórca muzeum rolniczego w Ciechanowcu. Człowiek, który z lekarskim kuferkiem zjeździł okoliczne zaścianki.

Łomżyńskie jest gościnne, choć i tu, jak w każdym wiekowym mieście, długo przylgają się przybyszowi, obserwując, czy się przyjął. (A żeby się przyjął, trzeba zadeklarować wyraźną sympatię do imponującej metryki miasta, trzeba wręcz schlebiać, i to najlepiej w stylu Józefa Stomporo, którego fragment powieści — „Wierność jest cechą tamtych kobiet z miasta nad Narwią o czerwonym dachu, katedry, z Górą Królowej Bonny, tysiącletniego miasta mojej Joanny, mojego syna. Najpiękniejszego z polskich miast...” — nauczyciele łomżyńskich szkół ponoć zadają dzieciom do wyuczenia się na pamięć.

Jest więc wyczekiwanie, ale bez czyhania na potknięcia. Możliwe, że byłoby inaczej, gdyby w stolicy województwa istniała konkurencja dla wykształconych „spadochroniarzy”. Niestety! Łomżyńszczyzna o znaczących nazwiskach, ci, których adresy pan Wasząnik, były prezes Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, przechowuje w wytartym od częstego zaglądania notesie, wyjechali z tego miasta jeszcze w latach pięćdziesiątych, nie znajdując w nim żadnych szans na interesującą pracę, na rozwój własnej osobowości. I wprowadzić — jak powiada emerytowany nauczyciel, Stanisław Ogrodnik — miasto nad Narwią jest dla wielu z nich tym punktem na mapie, o którym się myśli mówiąc: „Ojczyzna”, to przecież nie oni, rozrzućeni po kraju, tworzą obecnie klimat stolicy województwa.

Zasiedziały łomżyńszczyzną nie pozostało nic innego, jak kibicowanie przybyszom i cieszenie się, że nowi administratorzy, nie tubylcy przecież, docenili powiatowe próby galwanizowania miasta. Ze nie zaprzeczono, wymyślonego w Towarzystwie, Święta Kultury Staropolskiej; przeciwnie: skromny zamysł przeprowadzenia przez ulice korowodu historycznych postaci rozrósł się — odtąd powstało tu województwo — w tygodniowy festiwal. Ze śmiała niegdyś myśl utworzenia studiów doktoranckich w mieście, które nie miało wyższej uczelni, znalazła w Urzędzie Wojewódzkim entuzjastów. Wreszcie: że przybysze doceniają niestrudzone starania Heleny Czernekowej o po-

mnożenie zbiorów Biblioteki Wojewódzkiej. Może nawet dumni są z odkurzanych tam białych kraków, z pieczołowicie przechowywanej dawnożyńskiej warszawskiej archiwisty, Piotra Bańkowskiego (rodem z Łomży).

— Bo przecież — rozumują starzy łomżyńszczyzną — mogłoby być inaczej. Mogłoby ci nowi wytykać zasłużonej Czernekowej: „Cóż z tego, że przechowuje między książkami kawałki parcianych pantalonów Napoleona, który zatrzymał się w Łomży po rejteradzie spod Berezyny, skoro sieć bibliotek w województwie jest najgorsza w Polsce”; uśmiechać się kpiąco, gdy pokazuje im kopczyk gruzów nad Narwią (śląd po starej kaplicy, wzniesionej przez mnicha Brunona, który zjawił się w Łomży, aby krzewić wiarę chrześcijańską) albo napomynka, że w tym mieście bywali królowie i książęta, a Stanisław August rozpoczął karierę posła.

Łomżyńszczyzna są wdzięczni za poważne traktowanie leciwej metryki ich miasta. Komuś z zewnątrz trochę nawet irytująca wydaje się ta pokora starszych pań i panów wobec pewnych siebie trzydziestolatków, tak zajętych ruszaniem z posad Łomży (i urządzaniem się, urządzaniem), że nie mają czasu na wysłuchiwanie zwierzeń ludzi, którzy kiedyś „ciągnęli kulturę w terenie”, wzięli się na sprawy wielkie. To przecież w Łomży w roku 1958 powstał, zaraz po usunięciu gruzu z rynku, klub inteligencji o bardzo ambitnym programie. A i później, na długo przed powstaniem województwa, odbywały się tu międzynarodowe zjazdy slawistów pod kierunkiem profesora Witolda Doroszewskiego.

Jest i „ale”: to milczenie, milczenie dla dobra sprawy, przymykanie oczu na niektóre fatalne konsekwencje otworzenia miasta dla przybyszów, bywa czasem pożywką dla anonimów wysyłanych do Warszawy. Jak ten: „My studenci Studium Administracyjnego jesteśmy zmuszeni do regularnego haraczu na opłacanie przyjęć w różnych lokalach jakie organizuje się przyjeżdżającym z Warszawy wykładowcom. Każdy z wykładowców ma zapewnione na zajęciach kawę i koniaki, a później towarzystwo do hotelu. Gospodyni [...] roku za zebrane pieniądze organizuje przyjęcia u siebie w domu. Dzięki temu umieszcila swoje dzieci na studiach, które normalnie nie dostały się. Sama też ma piątki w indeksie choć nigdy z grupą nie zdaje”.

Prawdziwy to anonim czy nie? Jest echem opinii o Studium, niestety, w Łomży dosyć powszechnej. Gdy rozmawiałam o nim z panem Wasząnikiem, byłym posłem, powiedział z troską w głosie: — Może lepiej nie poruszać tego tematu? Jeszcze zjada jakieś komisje, sprawdzą, że prawda, i zabiorą nam ten załazek samodzielnej uczelni.

HELENA KOWALIK





Fot. Gabor Lőrincz

złapać innego powietrza

— Nie — słyszę w zambrowskiej „Bawelnie” — nikt w zakładach nie zastanawiał się nad modelem wypoczynku. I chyba nie ma takiej potrzeby. Nikogo na siłę nie będzie się uszczęśliwiać. Zresztą, co tu dużo gadać: jak ktoś tę potrzebę wypoczynku ma we krwi, to pojedzie na każdy obóz, na każdy rajd.

Jerzy W. pracuje w łomżyńskiej „Narwi”. Nie ukrywa, że na urlop czekał z niecierpliwością. Zapytany jednak, jak go spędzi, mówi, że nie zastanawiał się nad tym. Chce być z żoną, z dziećmi. Mogłoby gdzieś wyjechać, ale po co? W Łomży też się da wypocząć. Będzie miał czas — weźmie wędkę. O ile go wystarczy, bo chałupa czeka na remont. A w końcu — czy to takie ważne? Ma urlop, i to jego osobista sprawa, jak go spędzi. Najważniejsze, że oderwał się od pracy.

Również Agnieszka S. z Grajewa nie wie, co zrobić z urlopem. Mogłaby, na przykład, pojechać na obóz ZSMP, ale...

— Jaki wypoczynek oni mi mogą zapewnić? Jakies spotkania, szkolenia. Już wolę w domu siedzieć. Może pojedę na parę dni do koleżanki na wieś?

W Broku nad Bugiem swój ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy zlokalizowały Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego. W eleganckich domkach kempingowych jest 68 miejsc wczasowych — do użytku od 10 czerwca, przez pięć turnusów. Nie dla wszystkich wystarczy miejsce. Zambrowscy włókniarze wyjeżdżają więc na wczasy do Pobierowa w Szczecińskim, Augustowa i Mostów koło Elbląga. Po raz pierwszy w tym roku wprowadzono tu formę wczasów turystycznych. Kierowniczka działu socjalnego twierdzi, że wszyscy pracownicy mogą z niej skorzystać.

— Wśród zgłaszających się na letnie turnusy dużą część stanowi młodzież. Przykłady? Proszę bardzo: 70 dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 3 na obozie; ponadto rajdy, obozy wędrowne do Szczawy, Mszany Górnej. Dużo tego.

— Dobrze, a młodzież pracująca? — Z nią mamy kłopoty. Planuje się, oczywiście, ale... Chociażby ten obóz do Mszany Górnej: miał być dla młodzieży pracującej. Nie wypalił, bo nie było chętnych. Chcemy dużo robić dla uczniów szkoły przyzakładowej, których traktujemy prawie jak pracowników zakładu, lecz szkoły mają obozy OHP. Skąd wziąć ludzi? Pomimo niskiej odpłatności (tylko 320 złotych), nie ma chętnych.

W ZZPB na wypoczynek młodzieży przeznaczają się prawie połowę funduszu socjalnego. Mieszcza się w tym co prawda koszty utrzymania przedszkoli i półkolonii dla dzieci pracowników zakładu, organizowanych podczas przerwy wakacyjnej, ale i tak sporo zostaje na akcję letnią dla młodzieży. I, co ciekawe, kwoty te są wykorzystywane. Tylko na co, skoro nie ma wypoczynku?

Przewodnicząca Zarządu Zakładowego ZSMP organizacja kieruje za ledwie od półtora miesiąca, nie ma więc jeszcze pełnego obrazu sytuacji.

— Trudno o wspólny język — mówi. — Młodzi przychodzą czasem do Zarządu ze swoimi problemami. Dotyczą one głównie stosunków międzyludzkich i spraw związanych z produkcją. Ale zorganizować coś jest bardzo trudno. Zarząd Wojewódzki ZSMP przysłał mi plan obozów tegorocznej akcji letniej. Ogłoszenie wisiało przez dwa tygodnie, i nawet jedna osoba się nie zgłosiła.

— Czy ogłoszenie rozwiązuje problem?

— Rozmawia się jeszcze z ludźmi, chodzi się, prosi na zebraniach, ale nie ma chętnych. Na przykład organizowałam rajd rowerowy do Kamianki, nad wodę, z namiotami. Najpierw zgłosiło się 21 osób, lecz pojechało 11.

— Kiedyś było inaczej?

— Nie, było tak samo. Mój poprzednik też się starał. Na taki cho-

ciażby kulis zgłosiło się 50 osób, a pojechało za ledwie 20.

Zambrowianka, Stanisława Wróblewska, ma urlop w sierpniu. Wyjeżdża do Karpacza na wczasy z zakładu. — Zawsze gdzieś jadę. Nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej. Dziwię się młodym. Można w pewnym stopniu zrozumieć tych ze wsi, wiadomo — praca. Ale miastowi? Niektórzy to tylko aby butelka...

Zofia Koch, też tkaczka, urlop planuje pod koniec września. Jeszcze nie wie, co będzie robiła. Irena Czekalska w sierpniu wyjedzie prywatnie na 20 dni do Gdańska. Czy wypocznie? Powinna. Jest to jej pierwszy urlop, odkąd ukończyła szkołę, i chciałaby, żeby był udany.

Dużo młodzieży jednocześnie uczy się i pracuje. Ale ani w ich środowisku, ani w innych, problem wypoczynku nie istnieje. Nie mówi się o nim, choć wydawałoby się, że bywają stałym otoczeniem znużeni.

— W Zambrowie można zaradzić. Jak przjdzie wolna sobota albo niedziela — nic, tylko oszaleć z

nudów. Pozostają jedynie wieczory. Kino też nas nie rozpieszcza, jeszcze wiejskie zabawy, ale wiadomo, jak się na nich można ubawić.

Kelnerka z „Lotosa” mówi, więcej młodzieży przychodzi do kaju latem. Na ogół są grzeczni, rozrabiają. Inaczej jest w „Mazurze”. Już przy wejściu o mało dostałam po głowie od dryblasz siłującego przy pomocy rąk wyjąć coś swojemu koleźce. Zastępcę kierownika restauracji Halinę Zambrowską — tajemniczo szepcze, w Zambrowie młodzi dużo piją, nie dotyczy to może ogółu młodzieży, ale i nie jednostek przeciętnej zambrowskiej „Bawelnie”. 39 procent stanowi młodzież do lat 20 (około 1200 osób). Z tego co latem dojeżdża do pracy z okolicznych wsi. Urlop przeznaczają na swoje własnym gospodarstwie albo pomoc rodzicom.

Stanisław S.: — Zrozumieliśmy, bym pojechał na te wczasy, kocham jakoś inaczej pożyć, złapać trochę zdrowia, ale jak pojedę, pół zdrowia stracę, bo będą mi bez przerwy, co się na gospodarstwie dzieje. Nie dopilnuję — nie będę miał. A dobrze i parę worków tofeli więcej.

Wiesława B.: — Rodzice sterani. Sami tylko na siedmiu tarach. Brat z siostrą w Zielonej Górze. Przyjeżdżają raz albo dwa razy na rok, na święta. Ja pomagam rodzicom sama, a na urlopie mogę zrobić właśnie w czasie urlopu.

Wies na trasie Łomża—Zambrowo niewiele ponad sto gospodarstw. Zakładów Bawełnianych w Zambrowie dojeżdża stąd codziennie około 100 osób. Trzy spośród nich to dziewczyny; średnio mają po 15 lat.

— Forsy za wiele nie ma, mówi Krystyna. — Niby pensja mała, ale idzie diabli wiedza. Mam trzy tygodnie urlopu. Ten czas jak pozasuwam, to zarobię tyle, co w „Bawelnie” jeszcze więcej. Jak to: gdzieś boru pójdę, na jagody, u ludzi najem do żniw albo pielęgnowania rzyw. U nas jest wielu takich potrzebujących pomocy. Starzy ludzie. U nich robiła nie będę.

— Urlop? — ze zdziwieniem Bożena — zleci jak kijem. Nie warto nigdzie jechać. U nas można wypocząć. Zabawy są, nie we wsi, to gdzieś po sąsiedzi. Na takiej zabawie, masz pojechać, można wypocząć? Telewizor, mu, magnet u Irka.

Zofia ma nieco odmienne zdanie. — Żeby tak z kimś wyskoczyć, co innego, ale sama? Nikogo nie znam, strach z obcymi. Ja bym nie mogła z byle kim. W domu siedzę, na zabawę pójdę...

WAWRZYNIEC KŁOS

pokolenie



brzuchem do chmurki

szkoły podstawowej. Znalazłem zatem kolejne pytanie: jeżeli tak zwany aktyw organizacyjny wypoczywać nie potrafi, to co dopiero reszta?

O młodzieży ukuto już wiele stereotypów; skrzynka piwa, pół litra, dyskoteka, a potem po pysku pranie — to jeden z nich. Sporo w nim prawdy. Co jednak mają robić czynu żądni, skoro w całym województwie kluby młodzieżowe na palcach lewej ręki policzyć można, a w nich — archaiczny sprzęt i nudą wieje ze wszystkich zakątków? Wiem. Sami powinni kulturalną rozrywkę zorganizować. Tylko że — po pierwsze — nie bardzo potrafią, a po drugie — nie ma im kto w tym pomóc.

Brak umiejętności — najogólniej rzecz ujmując — spędzania czasu po pracy, wolnych sobót i niedziel, oznacza także brak umiejętności organizowania atrakcyjnych urlopów. Jeżeli przy tym i oferty nie grzeszą atrakcją — wypoczynek jest taki, jaki jest.

Nie zgadzam się z poglądem, że wypoczynek do spraw najważniejszych nie należy. Wraz ze wzrostem stopy życiowej, zwiększaniem dni wolnych od pracy, mnożeniem się ilości sytuacji stresowych — rośnie też jego ranga. Dlatego tak ważną sprawą stają się starania, by dobry wypoczynek uznać za rzecz naprawdę potrzebną.

Oferty aktywnego wypoczynku — rajdy, obozy wędrowne itp. — adresowane do młodzieży pracującej, mogą zostać przyjęte pod jednym warunkiem: że dotrą do adresata. Nie wystarczy wywiesić ogłoszenie i czekać na chętnych; nie wystarczy metody administracyjne. Tworzą one paradoksalne sytuacje, bowiem organizatorzy, nie mając pełnej obsady, gorączkowo prowadzą nabór wśród swoich znajomych.

Największe zadanie stoi przed organizatorami wakacji młodzieży uczącej się. Z roku na rok bije się rekordy ilościowe: rośnie liczba uczestników obozów, ilość sprzętu, baz namiotowych. Ale zmiany te dotyczą głównie wyposażenia, a nie form wypoczynku. Dalej królują sztańca — obóz lub rajd i ścisła opieka. Samodzielność? Proszę bardzo, niech się najpierw skończy obóz. A może by pójść na większą inicjatywę młodzieży?

W tym właśnie kierunku idzie postulat Głównego Komitetu Turysty-

ki, który domaga się samodzielnej, samoobsługowej i umiejętnie wspieranej finansowo przez państwo — turystyki dla starszej młodzieży szkolnej, gdyż: „Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym...”

Celowo pomijam problem, który w Łomżyńskim wysuwa się często jako główną barierę rozwoju wszelkich form wypoczynku — wykorzystywanie urlopu na pomoc dla pracującej na wsi rodziny. Po pierwsze — nie jest to sprawa tak masowa, jak się sugeruje, a po drugie — potrzeba pomocy w rolnictwie maleje.

Nie mamy chętnych na obozy — tłumaczy organizatorzy młodzieżowych akcji szkoleniowo-wypoczynkowych. Odstraszają ich słowo „szkoleniowy” i warunki wypoczynku. Zakopane, Ustka, wygodne pensjonaty — na pewno stanowiłyby atrakcję. Ale trzeba ich też zrozumieć. Przecież członkowie ZSMP to w większości młodzież wiejska. Po pracy w polu nie mają ochoty na aktywny wypoczynek. Czy jednak „aktywnie wypoczywać” oznacza: „szkolić się”, czyli siedzieć po kilka godzin dziennie (tak zakładają, nie realizowane zresztą w pełni, programy obozów) na niezbyt interesujących wykładach? Możliwość wystawienia później skóry do słońca nie stanowi rzeczywistego zachęty.

Socjologzy twierdzą, że zjawisko dążenia młodzieży do wygody i biernej konsumpcji przybierze na sile. Jeżeli tak, to należałoby mu przeciwdziałać, między innymi przez kształtowanie umiejętności wypoczyniania, które — ze społecznego punktu widzenia — przestaje być tylko sprawą osobistą. To zadanie nie tylko dla organizacji młodzieżowych, ale także związków zawodowych i służb socjalnych w zakładach pracy.

Tymczasem jednak nadal rekrutacja uczestników obozów stanowi największy problem organizatorów wypoczynku młodzieży pracującej. Nadal urlop spędza się z reguły u rodziny, a atrakcją staje się dopiero wyjazd zagraniczny. Za kilka lat pożeniona młodzież wyjedzie na wczasy FWP i będzie leżeć brzuchem do góry, wypatrując słońca.

TEOFIL KLUCZKOWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

punkt widzenia



SZUKANIE POŻYTKÓW

Marek Humeńczuk, wiceprzewodniczący ZW ZSMP w Łomży: — W stosunkowo krótkim czasie województwo łomżyńskie przeżywa trzeci najazd studentów. Po gieldzie zatrudnienia, na którą zjechali z całej Polski kandydaci do pracy w Łomżyńskim, i konfrontacjach studentów szkół artystycznych, przebywa obecnie w Łomży i innych miastach regionu prawie 400 uczestników studenckich kół naukowych. Są to kółka z pięciu uczelni warszawskich — Politechniki, SGPiS, SGGW-AR, Uniwersytetu i Akademii Medycznej. Studenci prowadzą prace badawcze, które mają służyć rozwiązaniu wielu problemów ważnych dla zakładów pracy i całego regionu. Jest to akcja długofalowa (od 1 lipca do końca września weźmie w niej udział ogółem ponad tysiąc studentów), objęta porozumieniem o współpracy województwa z wyższymi uczelniami, podpisanym w kwietniu br. przez Sekretariat KW PZPR i ZG SZSP. Czy prowadzone prace będą miały praktyczne znaczenie dla naszego województwa? Myślę, że już w tej chwili można odpowiedzieć twierdząco. Wyniki badań profilaktycznych prowadzonych przez studentów Akademii Medycznej, wykazały np. niezadowalający stan higieny sanitarnej wśród dzieci. Koło ekenometryków zebrało materiał do opracowania sprawniejszego transportu w Przedsiębiorstwie Przemysłu Spożywczego. Studenci Wydziału Technologii Drewna przeprowadzają badania awaryjności i efektywności wykorzystywania maszyn w Zakładach Płyt Wiórowych w Grajewie. Chcielibyśmy, aby akcja letnia studenckich kół naukowych była kontynuowana także w przyszłym roku. Pozwoliłoby to dokładniej określić, gdzie ich praca daje największy pożytek zarówno regionowi, jak i studentom. Myślę też, że przyjeżdżając w Łomżyńskie w następnych latach — będą coraz bardziej związani z regionem i jego problemami.

Jan Herman, zastępca komendanta Studenckiej Akcji Naukowej: — Łomża i inne miasta województwa, gdzie prowadzimy prace badawcze, przyjęły nas życzliwie i serdecznie. Na początku, jak to zwykle bywa, mieliśmy pewne kłopoty — po prostu organizatorom zabrakło trzech dni. Teraz wszystko jest już w porządku. Dla studentów akcja letnia jest doskonałą okazją do konfrontacji teorii, którą zdobywamy na uczelniach, z rzeczywistością. Myślę, że doświadczenia, jakie obecnie zbieramy, będą nam dobrze służyły w przyszłości. Jest to zbieżne z odczuciem i zamówieniem naszych gospodarzy. W zakładach pracy, gdzie prowadzimy badania, podkreśla się, że kierownictwo oczekuje od nas praktycznych wskazówek, a nie teorii. W tym też kierunku będą szły nasze poszukiwania. Przecież dalsza współpraca i jej efekty powinny być uzależnione od tego, w jakim stopniu będzie można praktycznie wykorzystać opracowania tematów, które realizujemy.

Opracowali: J.B. i M.R.



dealna sytuacja wygląda mniej więcej tak: masz do dyspozycji gamę możliwości spędzenia urlopu, dostosowaną do gustów, zawartości kieszeni i okresu wypoczynku. Wybierasz odpowiadającą ci i odpoczywasz pełnią ciała i ducha. Ideal jest prosty, rzeczywistość pogmatwana.

Zerknijmy na listę możliwości. Propozycji niby dużo, ale niemal każda sprowadza się do leżenia do góry brzuchem i wyglądania słońca lub do „zapijanych” wycieczek. Dotyczy to wszystkich środowisk pracy — poza rolnikami.

Gestorzy wypoczynku o jego modelu mówią raczej niechętnie, a przyciśnięci do muru — zwalają winę na gusty swoich klientów. Zaspokajają niewybredne zapotrzebowania i pilnują, by im się to opłacało, kładąc nacisk bardziej na „za ile” niż na „jak”. Czemu się zresztą trudno dziwić.

Oczywiście, są chlubne wyjątki: wczasy z nauką szusowania na narciach, zdobywania kart żeglarskich czy umiejętności samoobrony. W masie jednak giną. Pozostaje szarynka wczasów z pieczeniem kiełbasek na sobotnich ogniskach i oglądaniem telewizyjnych programów. Po wczasach wracamy więc zmęczeni i upatrujemy z utęsknieniem rozrywki... w pracy.

Nic więc dziwnego, że wczasy nie cieszą się zbyt dużym wzięciem u ludzi młodych, jeszcze z wigorem, jeszcze relaksujących się w ruchu.

A co ich cieszy? — ktoś zapyta.

Po odpowiedzi na to pytanie pojechaliśmy na obóz w Koźlu, zorganizowany przez Zarząd Wojewódzki ZSMP dla aktywności kulturalno-oświatowej. Chciałem tam podyskutować na temat, czy młodzież pracująca potrafi wypoczywać. Dyskusja jednak się nie odbyła. W dobrze przygotowanym obozie — zamiast stu menadżerów młodzieżowej kultury — zastałem kilkudziesięciu uczniów, w tym nawet ze



— Przekonania, że istnieją „siły tajemne”, które decydują o ludzkim losie, powszednie. Fantazja, z jednej strony, i wiele przykładów z życia, z drugiej strony, zmuszają nas do zastanowienia się nad problemami, których unikają dotychczas oficjalna nauka. Jaki jest obecny stan badań zjawisk nazywanych często parapsychicznymi?

— Zaczniemy od przykładów. Czytałem niedawno pracę amerykańskich dziennikarzy, Grisa i Dicka, dotyczącą obecnego stanu badań parapsychicznych w Związku Radzieckim. Żyje tam człowiek o nazwisku Jermolajew, który potrafi podnieść, za pomocą zbliżenia rąk, nie tylko małe przedmioty (jak to czyni parę osób), ale nawet ludzi. Amerykanie opisują sytuację, kiedy wchodzi na przyjęcie, gdzie jest również Jermolajew. Stoi on z wyciągniętymi rękami, a w środku pokoju, na wysokości jednego metra od podłogi, wisi w powietrzu znana radziecka dziennikarka. Goście są kompletnie oszołomieni. Podałem przykład talentu bardzo daleko rozwiniętego. To już nie mały przedmiot odrywa się od stołu czy podłogi, ale ważąca kilkadziesiąt kilogramów osoba. A oto i inny przykład, również ze Związku Radzieckiego: rodziny Kiriwotów (ojciec i syn), leczących, ze znakomitymi rezultatami, przez dotyk rąk. Podczas badań tych ludzi stwierdzono, że w czasie leczenia wydziela się z ich dłoni stężenie większe od normalnego promieniowanie ultrafioletowe, ręce zaś są niesłychanie zimne, wręcz lodowate; natomiast leczony odczuwa ogromny żar w miejscu dotyku. Bardzo interesujący też jest przypadek Barbary Iwanownej. Pani ta posiada właściwości hipnotyzerskie, telepatyczne, psychokinetyczne, lecz także na odległość przez telefon. Dzwonią do niej, na przykład, z Ameryki i ona podczas rozmowy leczy — ze znakomitymi efektami. Wreszcie potrafi wprowadzić w stan głębokiej hipnozy, pozwalającej przypomnieć ludziom ich poprzednie życie.

— Zakładając, że ono jest.

— To nie jest problem założenia. Oni sobie faktycznie przypominają. Niezależnie od tego, czy coś tam zakładają, czy nie. Poruszamy się w tym momencie na płaszczyźnie empirycznej, a nie teoretycznej.

— Co na to nauka? Podał Pan przykłady ewidentne, wobec których nauka oficjalna musi zająć, jak sądzę, jakieś stanowisko. Przecież faktom zaprzeczyc się nie da.

— W Związku Radzieckim wszystkie wymienione przeze mnie osoby (i wiele innych) są przedmiotem intensywnych badań naukowych. Nie znaczy to, że każdy uczonej radziecki je akceptuje. Podobnie jest w innych krajach. W USA, na przykład, przyjęto przedstawicieli tej dyscypliny do grona starszych naukowych. Jest to jednak raczej gest niż faktyczne uznanie parapsychologii za naukę. Parapsycholodzy mówią: „Sto lat mija, a my nie możemy się doprosić oficjalnej nauki o uznanie nas, wobec tego przestańmy prosić. Sami zaś organizujemy własną metodologię. I nie przejmujemy się tym, co panowie uczeni mają nam do powiedzenia. Jeśli latający spodek uśladłby im nawet na głowie, to i tak nie zostanie uznany za fakt, gdyż takiego zjawiska po prostu nie przewidują. Podobnie będzie z telepatią, psychokinetyką itd.

— Czy można podać krótką definicję parapsychologii, jaką się Pan posługuje.

— Parapsychologia zajmuje się pewnymi sferami poznania, ale mówi się o innym zestawie czy zespole aparatów zmysłowych niż te, które są już opisane przez nauki biologiczne. Tu wkracza inny czynnik, pozwalający poznawać nową rzeczywistość, obcą naszym (uznanym) zmysłom. A może tylko dodatkowy aspekt tej samej rzeczywistości?

— A zatem jeżeli oderwiemy się od tradycyjnego traktowania problemów

Dr Jerzy Prokopiuk zajmuje się w swych licznych publikacjach udostępnianiem polskiemu czytelnikowi trzech nurtów myśli europejskiej: psychologii głębi, niemieckiej myśli filozoficznej oraz europejskiego nurtu heretyckiego (na gruncie chrześcijańskim).

granice fantazji

Z DR. JERZYM PROKOPIUKIEM ROZMAWIA LECH GIZELBACH

ludzkiej psychiki, zmysłów — mamy szansę na poznanie nie tylko nowych właściwości ludzkiego umysłu i ciała, ale także na wykorzystanie ich do celów praktycznych.

— Na pewno. W Alma-Acie, na przykład, jest instytut kierowany przez profesora Iniuszyna. Zajmują się tam sprawdzaniem doświadczeń, zapoczątkowanych przez Kirliana, nad osobliwym promieniowaniem ludzkiego ciała. Badania Iniuszyna idą w kierunku wczesnego wykrywania raka. Dowodzi on, że aura świetlna (którą świetnie się fotografuje aparaturą skonstruowaną przez Kirliana) człowieka zdrowego jest inna niż człowieka chorego. Zrobienie dużej ilości zdjęć pozwala się zorientować, jak zmienia się aura w przypadku różnych chorób. Fotografując więc człowieka możemy bardzo wczesnie odkryć początki różnych chorób i skutecznie je zwalczać. Może już za parę lat będziemy chodzili na okresowe fotografie — tak jak obecnie na zdjęcia rentgenowskie — które wykonywane będą aparaturą kirlianowską. Lekarzom przypadnie rola zinterpretowania zdjęć, a w przypadku początków choroby — zapobiegania metodami farmakologicznymi jej dalszemu rozwojowi.

— Okazuje się, że pewne doświadczenia, nazwane tu przez nas parapsychicznymi, mogą mieć ogromne zastosowanie w medycynie. Ale chyba nie tylko?

— Zastanówmy się raczej nad mechanizmem tych zjawisk. Nasze poglądy na temat czasu i relacji między przeszłością a teraźniejszością (w jakim sensie przyszłość już istnieje) są w tym momencie mocno zagrożone. A sprawa do prawdy nie jest prosta! Skoro udaje się przewidzieć przyszłość, można wpaść w swoisty fatalizm, że wszystko zostało z góry ukartowane, a człowiek jest zabawką losu. Są jednak przykłady snów, które sprawdzają się znakomicie, ale do pewnego tylko momentu: do zakończenia. Kończąca jest inna, niż przewidywał sen, i zależy ona od tego, co uczyni, już świadomie, dany człowiek. Znany jest przykład sławnego marszałka lotnictwa, Dowdina, który śnił, że leci z Tokio do Singapuru. W pewnym momencie samolot zwałił mu się do morza, a on zginął. Po jakimś czasie faktycznie podobna sytuacja miała miejsce. Dowding leciał z Tokio do Singapuru i rzeczywiście samolot zaczął mu nawalać. Wszystko było tak, jak w scenariuszu sennym, ale w ostatniej chwili udało mu się wyprowadzić samolot i uratować życie. Istnieje więc margines wyboru i świadomego działania.

Bardzo też ciekawym przypadkiem jest pewne wydarzenie z życia Edit Piaff. Piosenkarka, będąc w Nowym Jorku na występach, śniła, że samolot, którym miała wracać do Europy, ulegnie katastrofie. Ponieważ była przesadna, oświadczyła swemu menagerowi, że tym samolotem nie polecą. Chociaż menager wyrwał włosy z głowy, gdyż bilety w Paryżu były wyprzedane na jej kolejny koncert, samolot wystartował bez niej. Po czym rozbił się w okolicznościach identycznych do opisu ze snu Edit Piaff.

— Prawie każdemu znane jest zjawisko, polegające na przekonaniu, że już jakieś zdarzenie miało niegdyś miejsce, a teraz my je tylko powtarzamy. Jesteśmy w stanie powiedzieć, co nastąpi za moment. Jak można wyjaśnić podobne zjawiska, w literaturze nazywane déjà vu? Czym one są — złudzeniami?

— Powiedzmy, czym na pewno nie są. Nie są na pewno dowodem na reinkarnację. W déjà vu przypominamy sobie jakieś zdarzenie z tego życia.

— A więc problem czasu.

— Tak. Są koncepcje wyjaśniające je fizjologicznie. Ma ono oznaczać istnienie echa postrzeżenia. Myślę, że w podanym przypadku mocno naciąga się teorię, aby nie wyjść tylko poza aktualne rozumienie sprawy. Do mnie bardziej przemawia koncepcja angielskiego inżyniera — późniejszego teoretyka tego problemu — Deana. Postulował on istnienie dwu nurtów czasu. Jeden to ten, którym żyjemy na jawie, drugi nurt związany jest z życiem podczas snu. Wiemy, iż czas rzeczywiście zachowuje się zupełnie inaczej we śnie. Zrobił on eksperyment polegający na zapamiętaniu jakiegoś snu, który później wystąpił w zjawisku déjà vu. Okoliczność ta pozwala na stwierdzenie, że mamy do czynienia z przypomnieniem marzenia sennego, w którym widzieliśmy przyszłość.

— Jednym słowem: podczas snu biegamy w przyszłość.

— Tak jest. Te dwa nurty czasu są niekoherentne. Coś, co jest dla piero przyszłością dla jednego, jest już przeszłością dla drugiego.

— Toteż należy spodziewać się coraz większej popularności astrologii, która radzi sobie zupełnie nieźle z niesformalnym czasem. Jakie są przesłanki naukowe horoskopów?

— Wybitny psychoanalityk, Karol Gustaw Jung, bardzo wcześnie zainteresował się horoskopami. Żył ich do diagnoz psychologicznych. Zawsze żądał od przyszłego pacjenta przyniesienia mu swego horoskopu. Cała historia wysłała światło dopiero po śmierci Junga. Bliskie mu były szczególnie dwie hipotezy wyjaśniające istnienie horoskopów. Pierwsza wręcz materialistyczna, mówiąca o pewnej formie promieniowania, nie poznanej jeszcze — przypuszczalnie wysłanego z jakiejś planety na Ziemię. Jeżeli padło w momencie narodzin czy poczęcia, wówczas jakieś mierze determinowało dalsze losy człowieka. Druga nie mówi o związku przyczynowym promieniowania z kolejnymi zjawiskami, utrzymuje, że zjawiska fizyczne biegną równoległe do zjawisk psychicznych, i są one zgrane z sobą jeszcze przez jakiś czynnik trzeci. W tradycyjnej terminologii filozoficznej byłby to czynnik duchowy (w ramach triady: ciało-duch-duch). Druga koncepcja ma charakter bardziej filozoficzny niż naukowy. Przyczyną są do ostatniej i nie dopatruje się istocie horoskopów bezpośrednich przyczyn fizycznych, ponieważ wszystko dzieje się w płaszczyźnie niefizycznej.

— Choć reperkusje bywają jak najbardziej fizyczne?

— Znany jest przypadek Humberta I i pewnego rzeźnika Rzymu. Obydwaj urodzili się tego dnia, w tej samej godzinie i minucie, z tym że jeden urodził się jako następca tronu, drugi natomiast jako spadkobierca sklepu swego ojca. Porównano ich strukturalnie i byli identyczni. W tym samym dniu, którym zmarł stary król, umarł ojciec rzeźnika. Synowie zaś odczytali: jeden królestwo, drugi sklep. Zginęli również w podobny sposób: król zabił anarchista, rzeźnik zabił jakiegoś groźnego konkurenta. Ich losy różnią się treścią, ale przebieg i charakter, a więc pod względem strukturalnym, są zdumiewające.

— Jakie właściwości czy prawa korzystać parapsychologowie w krajach zachodnich, do których zgłaszają się nałogowi alkoholicy, narkomani? Oni przecież, z pominięciem choroby, długiego leczenia i odwyku autentycznie tym ludziami pomagają. Czy ich działalność nie jest szkodliwa lub wykorzystywaniem mechanizmów psychologicznych, autosugestia, a nie opieraniem się właściwościom i umiejętnościom psychologicznym?

— Wszyscy, którzy komukolwiek pomagają, muszą natrafić na element zaufania, otwartości, brzy woli. W tym sensie szarłatami są i lekarze. Przecież idą do gabinetu lekarskiego — wyciągają się do przekonania, że tam im pomoże. Nie chcą przez to powiedzieć, że cała sprawa da się jasnie zarówno w medycynie, jak i parapsychologii, wyłącznie wieniem działaniem „autosugestii” otwartości. Jest to tylko warunek. Dodajmy: konieczny, ale nie wystarczający. Są jeszcze warunki, działające obiektywnie. Jedną z nich jest, że pomagają, innym nie. Często tak, że pomaga tym, co wierzą, i nie pomaga tym, co nie wierzą. Musimy liczyć się z całym spłotem czynników psychicznych i pozapsychicznych, z których wpływ na kondycję człowieka.

— Niedawno nasza prasa opublikowała, jak siła woli, ogromnym pragnieniem przeżycia, jeden z amerykańskich dziennikarzy wyliczył, że pokonał raka — przypadek raku (według lekarzy) — szansy. Czy u niektórych osób jest subiektywny nie jest czynnym, zasadniczym w zwalczaniu choroby?

— Mogę podać jeszcze inny przykład na potwierdzenie tej tezy. Jeden z onkologów zauważył tempo choroby zwalnia się u posiadających silną potrzebę poczuć sensu życia. Jeżeli



Rysunek Bałay Rydz

zalamują się psychicznie — są przez raka wyniszczani bardzo szybko. Wysunął on tezę, iż człowiek posiada psychologiczną barierę, broniącą go przed wieloma chorobami. Obniżenie się z jakiegos powodu bariery ochronnej ułatwia przeskokowanie jej przez chorobę, często zabójczą.

— W tym przypadku raczej trudno mówić o parapsychologii.

— Tak, to już psychosomatyka. Jednak zalembia się ona mocno z parapsychologią. A może parapsychologia w ogóle jest taką wielką psychosomatyką?

— Czy takie problemy, jak np. reinkarnacja, również interesują parapsychologów?

— Oczywiście. Jedną z dróg badania reinkarnacji jest analizowanie i sprawdzanie wspomnień. Celuje w tym Stevenson. Najczęściej bada on dzieci, które przypominają sobie poprzednie wcielenia czy zdarzenia z życia. Stevenson zajmuje się takimi przypadkami niesłychanie precyzyjnie. W jednej ze swoich prac opisuje z ogromną rzetelnością dwadzieścia przypadków. Najbardziej bodaj spektakularnym przykładem jest historia młodego chłopca libańskiego, który zaczął przypominać sobie sceny z poprzedniego życia. Rodzice początkowo nie dawali mu wiary, ale kiedy wciąż ich niepokoił swymi niesamowitymi opowieściami, zaprowadzili go do miejscowego kapłana. Ten zawiadomił instytut amerykański w Bejrucie, który ścigał na miejsce Stevensona. Przeprowadził on rozmowę z chłopcem, następnie zabrał go do wioski, w której rzekomo parę lat temu żył. Okazało się, że chłopiec nie tylko doskonale orientował się w tej wiosce, ale rozpoznawał żyjące w niej osoby.

Inny przykład i inna metoda badawcza. Niedawno w Wielkiej Brytanii do psychiatry zgłosiła się kobieta, uskarżająca się na okropne wizje. Były to wspomnienia jej całego poprzedniego życia, od najwcześniejszych lat, aż do straszliwej śmierci na stosie. Wydarzenia, o których mówiła, miały — według niej — miejsce w XIII wieku w południowej Francji. Najdziwniejsze jednak było to, że w rocznicę śmierci — pamiętała dokładnie datę spalenia — całe jej ciało pokrywa się czerwonym nalotem, ustępującym następnego dnia. Lekarz stwierdził, że nie ma wcale do czynienia z przypadkiem psychiatrycznym.

— Czy aby nie podał Pan przykładu na zgrabne oszustwo? Mogła przecież czytać się w odpowiedniej literaturze i sfingować całą tę historię ze stołem przed sześćdziesiąt lat.

— Wiele okoliczności pozwala to wykluczyć. Kobieta ta nie zna żadnego innego języka poza angielskim. A przecież swoje wspomnienia wspierała tekstami pieśni w języku prowansalskim. Psychiatra, zaprowadzony niespotykanym przypadkiem, zaczął sprawdzać jej relacje. Napisał do historyków we Francji, badających XIII wiek, i wszystko, poza małym wyjątkiem, zostało przez nich potwierdzone. Niegodność dotyczyła drobniaczku. Według opowieści pacjentki — ówczesni kapłani nosili szaty ciemnoniebieskie. Historycy odpisali, że jest to omyłka, gdyż, według znanych im źródeł, kapłani zawsze przywdziali szaty czarne. Ale minął rok czy dwa i ci sami historycy natrafili na nowe dokumenty, z których wynikało, że faktycznie tamtejsze duchowieństwo nosiło stroje ciemnoniebieskie.

— Czyżbyśmy mieli nową metodę badania historycznych: z autopsji? Brzmi to doprawdy fantastycznie.

— Nie tylko miesza się tym szyki historykom. Wiele przeze mnie poruszonych zagadnień zdaje się mówić o konieczności przejścia do zupełnie innego sposobu traktowania spraw dziś, nie zawsze uznawanego przez naukę. Będzie się ona musiała liczyć w coraz większym stopniu z czynnikiem wyobraźni i szerzej otwierać się na najdziwniejsze aktualnie dla nas zjawiska; w coraz większym stopniu będzie musiała brać pod uwagę rolę podświadomości jako instrumentu poznawczego oraz przesłanki etyczne i estetyczne, których tak starannie do tej pory unikała.

— Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał LECH GIZELBACH

DOKONCZENIE ZE STR. 1

(Łamiący się, momentami przechodzący w szloch głos kobiety)

KOBIETA: Rozmowa zaczęła się od razu tak jakoś pechowo. Ponieważ mój mąż interesuje się żeglarsstwem, zaczął wypytwać o techniczne walory tej łódki. To był „Orion”, plastikowy, ale łódź kabino- wa; wszystko to wyglądało bardzo pięknie, nowoczesnie, caczusko. To są drogie... łodzie. Łódź była na gwarancji podobno jeszcze. No więc sternik stwierdził, że w prasie pisa- ją o tych łodziach, że to pływające trumny, ale że on w to nie wierzy, bo jemu się nie zdarzyła na tej łodzi wywrotka, że one są niezatapialne, że one są bezpieczne.

STERNIK: Ja znalazłem możliwości łodzi, ponieważ pływam tego typu łódkami od trzech lat. W załodze miałem kwalifikowanego sternika jachtowego. Ja nie widziałem tutaj jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Tym bardziej że miałem osoby pływające, dzieci ubrane w kapoki.

KOBIETA: Ja jeszcze powiedziałam coś tak głupiego, że największą frajdę sprawia pływanie z... pupą w wodzie, i dosłownie w trzy minuty — nie wiem, czy to był jego popis, czy... po prostu jakiś błąd manewrowy, to trwało sekundę —



dosłownie. W pewnym momencie... łódź po prostu położyła się. Cała załoga przebalastowała. Ja zostałam u góry i przez pewien czas trzymałam się łodzi. Ale ta łódź jest cholernie śliska, to jest miednica, tam nie ma się za co chwycić; wyposażenie łodzi nie ma nawet koła ratunkowego. I — dziwne — zaczęłam krzyczeć do sternika, co robić, bo był moment, że jeszcześmy się wszyscy trzymali tej łodzi, jeszcze ona nie... nie leżała do góry dnem. I zobaczyłam takie krowie oczy, takie przerażone oczy człowieka...

ZEGLARZ II: Otóż trzeba panu wiedzieć, że sygnałem ratowniczym, to znaczy — wzywającym pomocy, to machać czerwoną flagą czy szmatą i krzyczeć. Konia z rżędem temu, który potrafi ustać na wywróconej łodzi i machać czerwoną flagą. Absurd! U nas nie ma żadnych innych pomocniczych sygnałów.

KOBIETA: Tymczasem cała sytuacja przybrała bardzo tragiczny obrót (placze). Spojrzeliśmy, że dziecko... dziecko jedno płyne na wodzie, matka wyciągnęła jej szarpnięciem z kabiny. Małe, czterolet- nie dziecko. Dziecko było w kapo- czku, więc utrzymywało się, natomiast drugi chłopczyk został w środku. Syn mój (szlocha) był tam, w środku i... i nie wypłynął. Łódź przewróciła się do góry dnem, za- giel poszedł do dołu, co... co jest, no... niespotykane, bo łódź zwykle kładzie się na bok, tylko na bok, i żagiel trzyma się na tym boku. I... i widzę, że nadpływają łodzie,

Okrażyły nas łodzie, chyba trzy czy cztery żaglowki, dwie motorówki; dwadzieścia parę osób widzi wypadek. Mam przed sobą łódź, to jest jakieś dziesięć, piętnaście metrów, ale motorówki krążą, robią fale, za- lewa nam twarze, nie można pły- nać; więc krzycze, że dziecko, przede wszystkim krzycze, że jest pod pokładem dziecko, trzeba ratować dziecko! Nurkujcie! Ludzie! Skaczcie, nurkujcie, dziecko nie wy- płyne! Więc widzę takie ba- ranie twarze, bezmyślne, które kompletnie nie reagują. Krzycze. Nie! Żadnej reakcji. Pierwsza myśl, że to są Niemcy, po prostu turyści, którzy nie rozumieją, co my krzy- czymy. To... to jest nie do pomyśle- nia w ogóle, to się nie mieści w głowie (urywa, szlocha). To tak długo trwało, i... i czuję, że tonę, i już krzycze: chociaż koło, rzućcie ko- ło, nie dam rady — na oczach tych młodych, silnych wysportowanych ludzi, którzy, no, musieli przecież umieć pływać; to są żeglarze, byli ubrani w żeglarskie stroje, więc nie byli to przypadkowi przejażdżko- wicze. Nie znalazł się nikt, kto by wyskoczył przynajmniej, żeby po- moc matce, wyciągnąć na łódź, do- holować do łodzi już to pływające dziecko.

MILICJANT: Inny wypadek, też tragiczny, też łódź plastikowa „Ra-

bo fala znosiła. W końcu dopłynęła i z tym kołem wróciła po dziecko. Doho- lowała dziecko z tym kołem do łodzi i dopiero z tej łodzi nas... na tę łódź wciągnięto: ja, z tym dziec- kiem, i... i mnie w chwilę później. Właściwie ona sama sobie poradzi- ła. A z Maciem tragicznie... Z Mac- kiem tragicznie, ponieważ w tej ka- binie były ubrania, tam są miejsca do spania i są materace. Materace zablokowały wejście do kabiny i nie można się było dostać po prostu do wnętrza. Nurkowanie nie dawało żadnego rezultatu. Łódź leżała do góry dnem. Po paru minutach wsko- czyło do wody dwóch chłopców po siedemnaście, osiemnaście lat. Wła- ściwie dzieci. Woda była strasznie zimna, więc oni marzli. Chłopcy wy- chodzili z powrotem na łódź. Pa- miętam młodego chłopca, który przyplwał do nas i przynosił infor- macje o dziecku; był pokrwawiony, mówił, że jest dobrze, że dziecko krzyczy, że jest jeszcze w kabine powietrze. Ale każdy przechył łó- dzi, to, że próbowali ją postawić, dawało taki efekt, że łódź się po prostu kładła na drugi bok. I to stwarzało taką sytuację, że było co- raz więcej wody w kabine i coraz mniej powietrza, i zachodziła oba- wa, że dziecko się tam utopi... udu- si... Poza tym mogło uderzyć się w główkę. Ogłoszenie było jednoznacz- ne ze śmiercią właściwie synka mo- jego... I to trwało bardzo długo. To trwało dwadzieścia przeszło minut! I w pewnym momencie zaległa ci- sza, taka straszna, na tych łodziach wszystkich, i ja krzycze: co jest, dlaczego on tak długo nie wypływa, dlaczego dziecka jeszcze nie ma, i widzę takie... takie przerażające milczenie... Więc to... już oni byli bezzilni. Nie można było tej łodzi postawić. I dziecko przestało krzy- czeć. Po wszystkim. Zalamali się i przestali, przestali już nurkować. Nie mieli siły. I pamiętam motorów- kę; na tej motorówce stał silny, baczysty mężczyzna. Znam go — ten człowiek nie zamoczył nawet palca w wodzie. Nie wiem, może uznał sytuację za beznadziejną, nie wiem... trudno w tej chwili okre- ślić, ale nie wyobrażam sobie, że... żeby można było mieć taką posta- wę, żeby nawet nie próbować! Nikt nie zawiadomił WOPR-u, chociaż było tyle czasu — cała akcja trwała chyba pół godziny. Nikt nie zawi- adomił milicji, mimo że naokoło nas krążyło kilka motorówek, które mo- gły w kilka minut dopłynąć do brzegu. I... płynęła łódź milicyjna z Rucianego, to właściwie opatr- ność była...

MILICJANT: Czysty przypadek. Z tego względu chociażby, że w tym dniu patrolowała jedna, jedyna łódź milicyjna. A w sumie mamy piętnaście do szesnastu tysięcy hek- tarów wód patrolowych. Więc w tym czasie mogliśmy w powodzeniem być czy na Tałtach, czy na Sniard- wach, czy na Beldanie, a... to się stało akurat na Jeziorze Mikołaj- skim.

KOBIETA: W każdym razie mie- li bosaki i bosakami podważono łódź, i w ten sposób wynurzyła się kabina ta...

REPORTER: Proszę pana, jakie szanse miało to dziecko?

MILICJANT: Znikome. Zagle by- ły tak umocowane, że nie szło ich zdjąć. Kłopot polegał na tym, że utrudniały dojście łodzi pływające. Po przejściu tego nieomalże pierścienia tych łodzi — była walka o minutę, o dwie, trzy minuty. Po- nieważ ze mną na łodzi był mój syn, wspólnie podjęliśmy tę akcję ratunkową. Syn wskoczył do wody, wadusił nogami materace.

KOBIETA: Zanurkował — szes- naście lat chłopak — i wyciągnął dziecko na łódź milicyjną.

MILICJANT: Po wydobyciu dzie- cka, po wyciągnięciu syna z wody, popłynęliśmy w kierunku bazy mi- licyjnej. Po drodze przez radio zo- stał wezwany lekarz. Po dopłynię- ciu lekarz się znalazł, udzielił pierwszej pomocy temu dziecku. No, dziecko — po udzieleniu tej pierwszej pomocy — zostało oddane rodzicom, z tym że pomocy lekar- skiej trzeba było udzielić również matce, która była w takim lekkim szoku.

KOBIETA: No, to była ulga, że dziecko jest. Dziecko trzesło się, ale dziecko mówiło, pytało, czy jest Krzys, ten drugi chłopczyk, i czy wszyscy żyją. Miało pełną świadom- łość.

TOMASZ PIOTROWSKI

Zbliżył się wodzirej: — Kółeczko, rond, koszyczek, panie do śródeczka, panowie wybierają.

Poprosił Łaczkę. Tańczyła lekko, dobrze. Nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat. Podobno była rozwódką i po wielkim skandalu wyjechała z rodzinnego miasta.

— Pani spędziła urlop nad Bałtykiem?

— Skąd te podejrzenia?

— Opalenizna jak po wietrze od morza.

Roześmiała się.

— Nie jesteś mniej opalony.

— Praca w polu.

Spojrzała zdziwiona.

Po nadchodzącym kółeczku i rondzie, spotkał się z Zochą.

— Odprowadź mnie do domu.

— Złe się czujesz?

— Mam ochotę się przejść.

— Skończy się taniec i zejdzemy na dół.

— Nie, teraz. Duszno mi. Nie chcę, byś tańczył z Ireną.

— Niepotrzebnie zwrócimy na siebie uwagę.

— Ale w przerwie, pamiętaj.

Wyszli. Noc była wygwieżdżona, cicha. Na pustych ulicach zabłąkały dorożkarz, pijaczek zapatrzone w blask latarni, jakaś para. Opo-

wiadał Zośce o Warszawie, zapytał, czy wstąpi do ich kółka?

— Oczywiście. Zamierzam więcej czytać.

— Zamiast niesporów?

— Nie bądź złośliwy. W kościele odpoczywam. Kobiety są bezbronne, potrzebują pomocy, nie chcą być same.

— Nie jesteś sama.

— Tak się tylko wydaje. Do tych spraw nie należy się wtrącać. Niepokoi mnie Stach.

— Zostaw go. Wystarczą nam nasze problemy.

— Jakże?

— Nie mamy gdzie się spotkać.

— Jolka, moja koleżanka, znasz ją, obiecała mi, że gdy mama wyjedzie na wycieczkę, da mi znać.

— A teraz muszę cię całować na schodach.

— Sądziś, że mnie jest łatwo?

— Upadła gwiazda, pomyślałaś?

— Nie. Gwiazdy i ludzie chodzą innymi drogami.

Pocałował ją w szyję.

Z zabawy wracało większe towarzystwo i zabrało ich na brzeg Narwi. Pokazując na samotną kirkę, Józek Parnicki, syn notariusza wspominał, że w jej podziemiach stary pastor odprawia seanse spirytystyczne.

— Bujasz!

— Słowo daję. Nawet mój ojciec brał w nich udział. Tajemnicza dama zapowiedziała drugą wojnę światową. Wszyscy byli pod jej wrażeniem. Nasz pianista z kina, Wojtek Stroiński, wstał i zagrał żalobnego marsza.

— A dama? — zapytała rzeczowo Zocha.

— Nie wiem. Zapewne zniknęła.

— I ty wierzysz w podobne bzdury? — znówu Zośka.

— Wierzę, nie wierzę, ale coś w tym jest.

Do koła samokształceniowego zgłosiło się więcej młodzieży, niż można było sądzić; z dziewcząt — Zocha, Jola Gierwinówna, jej przyjaciółka, i Janka Orłowska, córka fabrykanta narzędzi rolniczych. Na pierwszym zebraniu postanowili czytać i dyskutować zarówno książki o najnowszych osiągnięciach naukowych, między innymi świeżo wydanego Freuda, jak i klasyków marksizmu.

Pewnego wieczoru zadzwoniła Irena i Adam złożył jej wizytę. Jakichś czas rozmawiali w trójkę z Wickiem, potem on poszedł i zostali sami. Irena nie była w najlepszym humorze i rozmowa nie kleiła się. Temat Warszawy zbyła pogardliwym wzruszeniem ramion, nowe koło szkolne nie interesowało ją. Wspomniła, że otrzymała list od Marcina i nie wie, czy nie powinna do niego jechać.

— Teski na to boba? — spytał nieco ironicznie Adam.

— Wręcz przeciwnie. Dziękuję za uroczne lato. Jest bardzo zajęty i być może wyjedzie do L'Ecole Militaire we Francji. W każdym razie ma taką propozycję. Romek bardzo mu zazdrości.

— Daj mu Boże zdrowie.

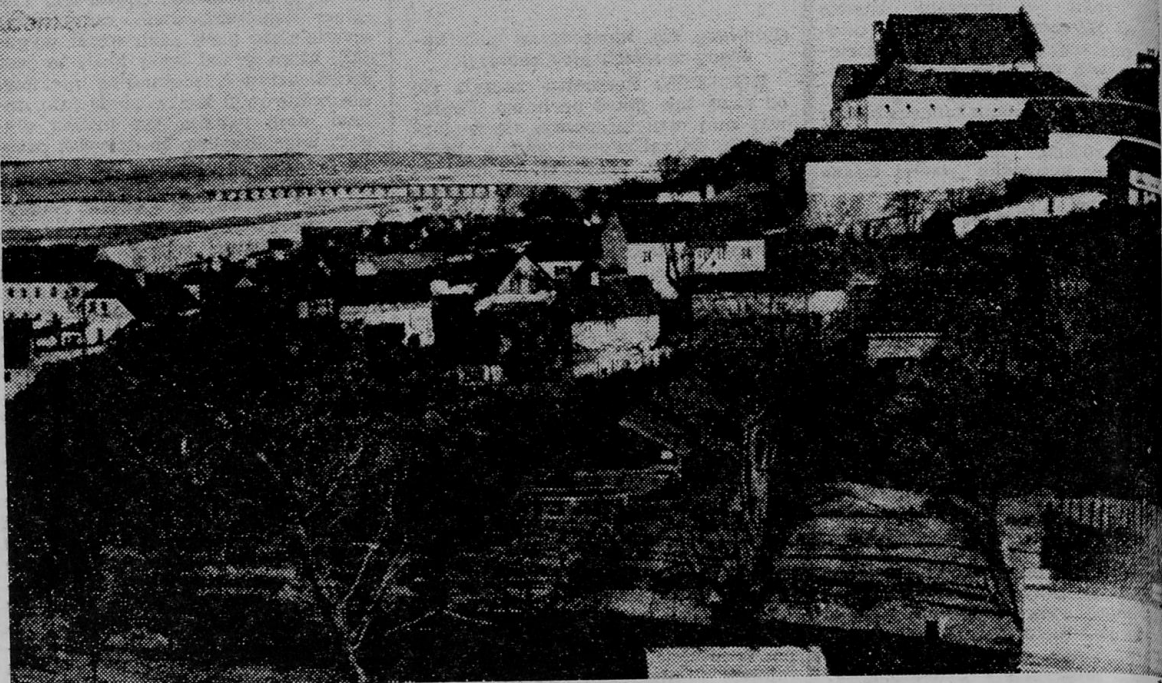
— Okropny jesteś. Muszę się z nim spotkać. Byliśmy zaręczeni.

— Doprawdy jesteś aż tak naiwna?

— Masz mnie za dziwkę?

— Wręcz przeciwnie, ale zawsze...

— Co zawsze?



— Nie pozbawioną zalet. — Wydziwiasz, a dla mnie to wielki problem. Pierwsze rozczarowanie.

— Pierwsze?

— Nie wygłupiaj się. Potraktowałam całą sprawę serio.

— Ja również. Ale to nie ma nic do rzeczy. Wyjeżdżać ci nie radzę. Tylko spokój może nas uratować.

— Nas? To znaczy kogo.

— Ciebie, jego, mnie i Zośkę.

— Zośkę? Dlaczego Zośkę?

— Po prostu wszyscy zaplątaliśmy się.

— Kpisz, a mnie się chce płakać — wyjęła chusteczkę.

— Mówię poważnie, Ireno. Poczekaj na dalszy rozwój wydarzeń. Może z tą całą szkołą we Francji budzą i Marcin sam do ciebie przyjedzie.

— Takie to wszystko trudne. Ty masz chociaż Zochę, a ja?

— Nie przesadzaj, wszystko przed tobą.

Były to ogólniki, lecz co mógł innego powiedzieć. Ireny było mu żal, a jednocześnie stała mu się obca. Nie pozostawało nic innego, jak pożegnać się i wyjść, zwłaszcza że przyszedł doktor Marcinkowski.

W szkole zaszły wypadki, które

otoczeniu grona pedagogicznego — wyszedł do młodzieży.

Ostra wymiana zdań nie dała jednak rezultatu. Obida nie chciał cofnąć swojej decyzji, mimo pośrednictwa Marii Łackiej. Młodzież też nie ustąpiła. Strajkujący okazali się wyjątkowo solidarni.

Na trzeci dzień przyjechał delegat kuratorium i wizytator z ministerstwa. Notatki w miejscowej prasie nie były dla dyrektora Obidy przychylnie, i mimo że nie pochwalono reakcji młodzieży, radzono cofnąć decyzję w sprawie usunięcia Arcimowicza, a potem przeniesie i Arcimowicza, i Piętaka do innego gimnazjum.

W Domu Ludowym odbył się wiec robotniczy w obronie młodzieży. Przewodniczył mu działacz Związku Robotników Budowlanych, Stefan Smolan. Przemawiał poseł doktor Czarnecki i przedstawiciel Lewicy Związkowej, Piotr Jaroszkiewicz. Wiec przyjął uchwałę popierającą postulaty młodzieży. Poseł Czarnecki obiecał rozmawiać z dyrektorem Obidą. Podobnego pośrednictwa podjął się notariusz Parnicki; mówiono, że pod wpływem biskupa Łukomskiego i Sodalicii Mariańskiej.

Nazajutrz profesor Piętek opuścił

Święta spędził Adam w domu. Wigilia u ojca (matki nie pamiętał, dawno umarła) miała charakter tradycyjny: opłatek, życzenia, barszcz z uszkami, smažený karp, bakalie. Nawet się nie spostrzegli, kiedy wciągnęła ich rozmowa na temat wypadków szkolnych. Stary Targowiak nie miał do Adama pretensji, ponowił jednak swoją prośbę, by syn nie uczestniczył w akcjach pozaszkolnych. W każdym razie — zanim nie zda matury.

— Nie miej złudzeń — wyjaśnił — polityka bywa, jak w naszym przypadku, aktem samoobrony. W zasadzie jednak grunt to grząski, nikt go nie przeszedł suchą nogą.

W każdym człowieku, obok racjonalnej ambicji, i to gwałtowniejszy program. Dwóch reguł musisz się trzymać. Wierzyć w to, co mówisz, i nie robić świństwa innym.

Adam kochał ojca i wdzięczny był mu za rozmowę. Pomyślał nawet, że powinien odwiedzić Arcimowicza, lecz nie bardzo wiedział, jak on ten gest przyjmie. Naradził się w tej sprawie z Nidzińskim i postanowili razem wpaść do Francjki. Przyjął ich serdecznie i dziękował za okazaną pomoc. Matka Arcimowicza poczęstowała ich herbatą.

Drugiego dnia świąt zadzwoniła Irena. Przy stole była cała rodzina. Przyjechał również Romek. Zazdrościł Marciniowi wyjazdu do Francji i obawiał się, że on sam, pozostawiony w nowosądeckim garnizonie, zastrzeli się z nudów przy pierwszej okazji. Wicek pokpiwał z oficerskiej chandry. Rozmowa zeszła na wydarzenia w szkole. Doktor Marcinkowski wyraził obawę, że gwałtowność reakcji młodzieży była wynikiem ogólnego napięcia w kraju. W każdym razie inaczej nie można sobie wytłumaczyć kapitulacji Obidy, i to pod naciskiem kuratorium. Romek nie sądził, że należy sięgać aż tak daleko, i opowiadał o wypadkach w podchorążówce, gdy jego przyjaciel dostał w twarz od komendanta placu, po czym tychmiast zastrzelił się na jego oczach.

— I ty tak spokojnie o tym mówisz?

— Postąpiłbym tak samo.

— Okropne — westchnęła Irena.

— Jesteście pokoleniem mało odpornym — replikował doktor Marcinkowski. — W moich czasach nie bawiały dyscyplina i jedynym usprawiedliwieniem niesubordynacji był czyn patriotyczny, obrona kraju, jego języka, kultury.

— Teraz również chodzi o Polskę — zauważył Adam. — Jedynym zmienili się doraźne cele.

— Nic mnie wasza polityka nie obchodzi — zaoponowała Irena — chcę normalnie żyć i wyjechać za granicę.

— Marcina i tak nie dogonią zażartował Wicek.

— Jesteś zwykłą świnią. Mógłbyś Romek, wziąć mnie w obronę.

— Marcin nie jest kandydatem na męża — poparł brata Romek.

— Nic nie rozumiecie — Irena była bliska łez.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ

wstrząsnęły całym środowiskiem. Na dwa tygodnie przed feriami Bożego Narodzenia Franek Arcimowicz, uczeń ósmej klasy, dał w mordę na korytarzu szkolnym profesorowi Piętakowi. Właściwie trudno było powiedzieć, o co poszło. Arcimowicz nie był społecznie aktywny, raczej izolował się od reszty kolegów. Był synem praczki i na tym tle zdradzał przesadną drażliwość. Podobno Piętek, podekscytowany hardą odpowiedzią Arcimowicza, powiedział coś obraźliwego o jego matce. Reakcja była natychmiastowa, i to na oczach całej klasy. Rada Pedagogiczna postanowiła Arcimowicza usunąć ze szkoły. Szymkowiak, jako starosta klasowy, zwołał zebranie. Po krótkiej wymianie zdań postanowiono przystąpić do strajku szkolnego i klasa demonstracyjnie opuściła gmach, zwołując na podwórku rekreacyjnym zebranie całej młodzieży. Do akcji przyłączył się nawet Tomalak z Sodalicii Mariańskiej. Ogłoszono strajk powszechny, który błyskawicznie rozszerzył się na klasy pierwsze. Wyłoniono delegację, w skład której weszli: Szymkowiak, Marcinkowski, Targowiak, Tomalak, Parnicki, Nidziński i jeszcze jeden chłopiec z piątej klasy. Dyrektor Obida nie chciał słyszeć o przyjęciu delegacji. Ponieważ jednak wiec przybierał coraz bardziej burzliwy charakter i mogło dojść do tłuczenia szyb, ugął się i — w

Łomży. Arcimowiczowi oddano legitymację szkolną. Otrzymał jednak surową naganą z ostrzeżeniem. Reszta chłopców z komitetu strajkowego zarobiła upomnienia. Wrócili do szkoły z poczuciem zwycięstwa, mimo że w auli musieli wysłuchać długich i pełnych pouczeń wypowiedzi kuratora i delegata ministerstwa.

W kilka dni później zebrało się kilka samokształceniów, na które przyjechali z Warszawy Julek Skrzyński i Antek Boniecki. Pili dużo kawy i palili papierosy, krzysząc z mieszkania Jolki Gierwinówny, której matka wyjechała. Antek miał pretensję, że gimnazjaliści zbyt łatwo poszli na kompromis, ale Julek Skrzyński wziął ich w obronę.

Kiedy wszyscy wyszli, Adam z Zochą pozostali u Joli na kolacji. Zakończyli stary. Pojawiała się butelka wina. Może zmęczenie, może niezwykłość wieczoru pozwoliła im zapomnieć o powrocie do domu. Gdy Jolka wyszła, Adam z Zochą kochali się na tapczanie, jak kiedyś na strychu stodoły.

Minęła noc. Zanim Adam wstał, dziewczyny już były prawie gotowe do wyjścia.

— Nie możesz się spóźnić — perswadowała Zocha — jesteś i tak na czarnej liście.

Nie było to zgodne z prawdą, lecz Targowiakowi taki status pochlebiał.

się do dalekiego z nim pokrewieństwa.

Po śmierci Augusta II — w styczniu 1733 r. rozgorzała walka o tron polski, pomiędzy Stanisławem Leszczyńskim a Augustem III, Kurpie opowiadali się za kandydaturą Leszczyńskiego i zbrojnie wystąpili przeciwko, sprowadzonym przez Augusta III, wojskom sasko-rosyjskim. Na skraju Puszczy Zielonej, pod wsią Jednaczewo, doszło do pierwszego starcia. Oddziałem kurpiowskim, wspomaganym przez Szwedów, dowodził Stach Konwa.

„Wojska sasko-rosyjskie — pisał Adam Chętnik — prażyły Kurpiów strzałami, Kurpie bronili się dzielnie, dziesiątkując wrogów zza drzew i zasieków. Zrada oddziałów szwedzkich przechyliła zwycięstwo na stronę wroga. Kurpie prawie wszyscy wyginęli, Stacha zaś złapano żywym i obiecano wolność, jeżeli przylączy się do stronnictwa Sasów. Konwa jednak oświadczył, że przysięgi nie złamie i z wrogami się nie połączy. Po takiej odpowiedzi dzielnego Stacha powieszono na sosnie.”

Mimo klęski pod Jednaczewem — Kurpie nadal popierali Stanisława Leszczyńskiego, który po kapitulacji swoich wojsk w Gdańsku przybył w te strony i z Kolna słał pisma nawołujące do utworzenia konfederacji; zawiązano ją 5 listopada 1734 r. w Dzikowie. Na skutek jednak przewagi militarnej wrogów opór konfederatów został złamany, przy czym najdłużej trwał on na Kurpiach.

Kurpie do dzisiaj śpiewają o swoim „naczelniku”, Stachu Konwie, pieśni, a niektórzy nawet przyznają

„Nasz Konwa to nie król szwedzki,
Co to nie wart torby sieczki,
Bije tego, strzela lepiej,
Kaj robaka wnet oślepi.

A też Sasów nie żałuje,
Tylko z strzelby ich częstuje,
A jak da im i ogniem trunku,
To po całym już frasunku.

Oj złapali go, złapali,
Żywcem więcej nie puścili,
Boże, daj mu zmiłowanie,
Za Twoją wiarę bił się, Panie”

Miejsce, zwane Rycerką lub Rycerskim Krzem w Jednaczewie, gdzie rzekomo miała się ukazywać postać Stacha Konwy, zostało uwiecznione w wierszu Władysława Mackiewicza, powstałym przed pierwszą wojną światową; cytuję jego fragment:

„Nocy dziwna! Czy to czary,
Czy złudzenie wzrok osłania?
Gdzie wyrasta dąb prastary,
Jakaś postać się wylania.

Straszną postać! Głową sięga
Ponad wszystkie drzewa w lesie,
A na szyi siną pręgą,
W reku hełm żelazny niesie.

Zahuczały trąby, rogi,
Zawtórzyły gęste strzały,
I rozpoczął się bój srogi,
Że aż zadrżał lasek cały.

Naraz postać — co to znaczy? —
Pada jako dąb podcięty.
Krzyk rozlega się rozpacz
»Konwa nasz w niewole wzięty!»

W jednej chwili nieb ogromy
Osnuty się w czarne chmury,
Znikła wrzawa, ścichły gromy —
W bliskiej wiosce pięły kury."

Podczas okupacji hitlerowskiej powstające w puszczy oddziały partyzanckie przyjmowały imię Stacha Konwy, a ich komendanci przyjmowali je jako pseudonimy.

CZESŁAW BRODZICKI
Fot. **GABOR LÖRINCZY**



dziadziństwo

Piętnastego lipca 1943 roku z więzienia w Łomży znowu wyjechały samochody. Pod plandekami — kilkadziesiąt stoczonych osób. Mężczyźni, kobiety i dzieci. W lesie, w Jeziorku, wysiadali, popędzani uderzeniami kolb. Mężczyźni w jedną, kobiety w drugą stronę. Długie, jak lata, minuty wyczekiwanie. Potem kłosa zręcznego, chyba kwas, pali oczy, weńska się w zaciszeniu kurczowo kaci ust. Nie! Opetaczny krzyk, przerażniejszy niż ból. Sklębiona masa ciał. I systematyczny stukot nastawianych celowników. Wreszcie: — Pal! — salwa. Potem druga. Trzecia.

Zmarł samobójczo w Jezior-

Tego dnia zamordowano w Jeziorku sześćdziesiąt trzy osoby. Kilka dni później, w Sławcu, trzysta; podobnie w lesie gielczyńskim. W okresie wojny — blisko dziewięć tysięcy. Byli wśród nich nauczyciele: w Jeziorku ośmioro, tyleż samo w Sławcu, troje w lasach gielczyńskich. Ogółem w miejscach straceń zginęło dwudziestu dziewięciu pedagogów; trzynastu nie wróciło z obozów koncentracyjnych. Wymordowano również wszystkich nauczycieli żydowskich — około pięćdziesięciu.

Nie byli oni jedynie przypadkowymi ofiarami łapanek i prześladowań hitlerowskich. Stanowili część inteligencji polskiej, tępionej ze szczególną premedytacją, trzeba dodać — nie tylko za działalność pedagogiczną, ale i aktywny udział w akcjach bojowych Armii Krajowej.

Franciszek Wasaźnik tak wspomina ten okres: — Do Łomży przyjechałem w roku 1938 jako podinspektor szkolny. Wrzesień roku 1939 zaczął się dla mnie ewakuacją aż po Pawłów kolo Janowa, synacy terror z hodowli koni. Po powrocie do Łomży zgłosiłem się do Wydziału Oświaty Oddziału Narodowo Obradowania. Zaproponowano mi ponowne zorganizowanie i prowadzenie

ZBRODNIA W JEZIORKU

Kilkadzieśiat osób. Wywieziono do Jeziorka.

Skrupulatni Niemcy realizowali rozporządzenia Hitlera o likwidacji inteligencji polskiej. Nowym, strasznym pomysłem Hitlera było „germanizowanie ziemi polskiej, nie Polaków”. Sprowadzało się to do eksterminacji ludności polskiej i zastępowania jej niemiecką. Dwudziestego drugiego lipca 1943 roku Niemcy powtórzyli zbrodnie z Żeziorka. Wśród trzystu zabitych znaleźli się nauczyciele. Pamiętam ich nazwiska: Jacek i Janina Banachowie, Antoni Rutkowski, Dionizy Popow, Mikołaj Samosiuk, Czesław Wyrzykowski, Stefan Jonczyk, Antonina Pierżniak.

Po klęsce stalingradzkiej widać było, że Niemcy zaczynają się bać. Ale też i łapani, i masowe rozstrzelania nasiliły się znacznie. Pomyśleć, że na początku okupacji bulwersował nas fakt publicznego spoliczkowania i pobicia profesora matematyki i fizyki, Sosnowskiego, za to, że nie ukłonił się zwykłemu, szeregowemu żołnierzowi. Wtedy naszą odpowiedzią było zaprzestanie noszenia nakryć głowy. W roku 1943 mogliśmy już odpowiedzieć inaczej, wmożona akcja partyzancka.

Mimo znacznego zaostreżenia się sytuacji, komplety pracowały regularnie. Częściej tylko zmieniano lokale. Miały one zawsze wejście frontowe i kuchenne. Któryś z uczniów trzymał wartę na zewnątrz, żeby w porę zauważyć zbliżające się niebezpieczeństwo. W tamtym okresie młodzież dojrzawała bardzo szybko. Życie w ciągłym zagrożeniu, obcowanie ze śmiercią i współodpowiedzialność z nauczycielami w razie „wpadki”, wszystko to czyniło z dzieci ludzi dorosłych. Ze zdziwieniem nieraz dowiadywali się profesorowie, że np. uczeń, który o godzinie dwudziestej jakal się z tremą przy tab-

licy szkolnej, o pomocy, jako bojowy członek oddziału partyzanckiego, odbijał pod Nowym Cyzynem aresztantów wieszanych do więzienia w Łomży. Rano ponownie śleczył nad notatkami, żeby profesor się nie gniewał, że przychodzi nie przygotowany na zajęcia.

Pewnego dnia poraziła nas wiadomość, że Janek Czochoński, uczeń klasy maturalnej, nie stawia się na egzamin, gdyż zginął w czasie potyczki pod Czerwonym Borem. Niedługo potem jego kolega stracił życie pod Małym Płockiem. Trudno powiedzieć, kto dla kogo mógłby być wzorem; uczniowie dla nauczycieli, czy nauczyciele dla uczniów. Przypomnę choćby dwa przykłady prostych, a jednocześnie bohaterских postaw. Pani Kazimiera Mazurkiewicz, przylapana przez Niemców na odświeżaniu orzełków i opasek żołnierskich została poszczuta psami. Krwawiącą, na oczach trzech synów, zabrano do więzienia w Łomży, a potem stracono wraz z innymi w Giełczynie. Jadwiga Dziekońska była łączniczką Armii Krajowej. Pod Białymostkiem natknęła się na patrol niemiecki. Niosła „pocztę”, więc wiedziała, że nie puszcza jej wolno. Zdawała sobie sprawę, że więzienie i tortury załamią ją. Będzie „sy-pać”. Za dużo wiedziała. Nie było innego wyjścia. Wyrwała kamień brukowy i cisnęła nim w jednego z Niemców, a w drugiego wczepiła się paznokciami. Zastrzelili ją, tak jak tego chcieli.

W połowie lipca 1944 roku front był tuż, tuż. Łapanki znowu się nasiliły. Szesnastego lipca wezwano wszystkich pracowników niemieckich zakładów pracy do stawienia się na Rynku Zambrowskim. Popędzono nas do Czaple, około ośmiu kilometrów od Łomży. Od dziesiątej do dwiętnastej trzydzięści kopaliśmy okopy. Wieczorem zajęła nas niemiecka ciężarówka. Wprowadzono ją do stodoły. Rzekomo miano dawać wynagrodzenie za pracę: cukier i mąkę. Sprawa wydawała się nam jed-

**DANUTA SOBOLEWSKA
ALEKSANDER WRONISZEWSKI**

DANUTA SOBOLEWSKA
ALEKSANDER WRONISZEWSKI

W starych wspomnieniach jednego z ubiegłowiecznych bibliofilów przeczytałem historyjkę dosyć dwuznaczną. Otóż autor opowiada, jak to wielcy zbieracze i wielbiciele książek „podciągali” unikalne starodruki — to w klasztorach, to we dworach, szczególnie zaś na Jasnej Górze. Gromadziły się za to piękne księgozbiory w Warszawie. Intencje były najjaśniejsze, bo ostatecznie owe jedyne, unikalne druki trafiły do Biblioteki Narodowej — konkluduje radośnie autor. Niestety, ta konkluzja pochodziła sprzed półwiecza. A co było potem? Ano, wiadomo: wszystkie te zdobycze niedługo potem, wraz z odnośnymi działami Biblioteki Narodowej, spłonęły. I nic im nie pomógł fakt, że miały w Warszawie rzeczywiście lepszą opiekę i stosowniejszych użytkowników. Ten sam los spotkał przeróżne inne zbiory biblioteczne, muzealne i archiwalne. Niezwykłym szczęściem dla kultury polskiej okazało się to właśnie, że nie wszystko jeszcze było zebrane, zinwentaryzowane, scentralizowane.

Wiele mówimy, myślimy i robimy dla zabezpieczenia pamiątek narodowych, świadectw istnienia i rozwoju naszej kultury. Właśnie w wyniku takich starań kompletuje się zbiory muzealne. Stusznie. Ale... Czy jest to rzeczywiście zabezpieczenie na każdą ewentualność? Wprawdzie mamy to szczęście, że pokój okazał się trwalszy, niż można by w swoim czasie sądzić, ale przecież historia się nie skończyła i doprawdy tów wszelkich, narzędzi. Wiesz nie-

oocalić od zapomnienia

nikt nie wie, co przyniesie przyszłość. A zabezpieczanie czegośkolwiek, oparte na założeniu, że wszystko będzie dobrze, równałoby się decyzji medycyny, która likwidowałaby lekarstwa w optymistycznym przekonaniu, że już nikt nigdy na nie nie zachoruje.

Robi się wszystko, aby ochronić zbiory przed pożarem czy inną dewastacją, lecz czasem i to nie pomaga, bo pomóc nie może. Cóż wtedy jest środkiem zaradczym? Rozproszenie. Ale wcale nie mam tu na myśli rozłożenia na elementy i działów muzeów, stworzenia „na wszelki wypadek”, tysiąca i jednego punktów muzealnych. Smutny rezultat takiej operacji nie jest trudny do przewidzenia. Działy unikalne niech pozostaną tam, gdzie są, bo i bez wojny są ustawicznie narażone na uszkodzenie, kradzież, zniszczenie. Mam na myśli operację, która polegałaby na nasyceniu kraju książkami i przedmiotami pięknymi, tak aby — w razie nieszczęścia — dało się dla przyszłości ocalić jeszcze bardzo wiele. Mamy jednego Leonarda, i trudno go krajać na paski. Ale galerie dobrego malarstwa współczesnego (a takie właśnie mamy) mogłyby przecież powstać w każdej niemal większej miejscowości; podobnie ze zbiorami książek, instrumen-

ty, że włodarz i władca Muzeum Narodowego, profesor Lorentz, nagromadził w magazynach skarby nieprzebrane, których wszakże nikt w dającej się pomyśleć przyszłości nie zobaczy, bo wymagałoby to już nie gmachu, ale całej dzielnicy muzealnej. Powiedzmy, że w ten sposób został ocalony bezmiar rzeczy przed zniszczeniem. Każda z osobna. Ale może narażono wszystkie razem? Nawet bez wojny, po prostu podczas pokoju istnieją także przeróżne katastrofy, pożary lub po prostu awarie wodociągów. Czy nie lepiej by było, gdyby te rzeczy cieszyły ludzkie oczy w wielu miejscach — naturalnie takich, które mają odpowiednie po temu warunki, a zarazem zwiększyły swoją szansę przetrwania?

Jest zresztą coś, co dodatkowo przemawia na rzecz muzeów mniejszych: otóż w nich rzeczy nie zagluszają siebie nawzajem. Doprawdy, więcej ma urody obraz eksponowany, powiedzmy, w małym muzeum w Awinionie niż w nie kończących się salach Luwru. A zmniejszając skalę, pamiętniejsze są eksponaty z Płocka niż z Warszawy. Czemuż więc takich Płocków nie przysposobić więcej?

PIOTR KUNCEWICZ

POUFNY DIENNIK BEZ DAT

„Życie Warszawy” doniosło o śmierci Aleksandra Baumgardena. W tej suchej, a może pustej przestrzni, między jednym a drugim wyrazem, ukrył się fragment mojego życia, który być może zdecydował o tym, czym się teraz zajmuję. W moim życiu Aleksander Baumgarten ma miejsce szczególne.

Pisząc to mam przed sobą żywą postać tego poety, prozaika, autora sztuk scenicznych i scenariuszy filmowych. Spotkałem go po raz pierwszy jesienią 1956 r. Pamiętam dokładnie ten dzień, kiedy zdecydowałem się pokazać mu moje teksty (niektóre z nich, mimo że były już wtenczas publikowane, trudno mi dzisiaj nazwać poezją). Szukałem kogoś, kogo bym cenil, miał pełne zaufanie. Wybor padł na autora to-mików wierszy „Luny na wietrze” i „O tym, co najbliższe”.

W tamtych czasach spotkania autorskie w Katowicach odbywały się na małej scenie nad kawiarnią „Cyganeria”. Sala wypełniona po brze-

gi. Trzymając plik maszynopisów w zwilgotnionych dłoniach, nie mogłem się doczekać końca tego — przedłużającego się dla mnie w nieskończoność — spotkania. Oklaski. Wręczenie kwiatów. Wokół wysokiego barczystego mężczyzny zebrał się mały tłumek wielbicieli i znajomych pisarzy. Jak się do niego dopchać — myślałem — wręczyć mu te teksty. Kilkakrotnie odchodziłem, wracałem z powrotem. Wychodził już z sali, gdy udało mi się stanąć na przeciw niego i wymamrotać: „Czy nie byłby Pan uprzejmy przeczytać i ocenić moich wierszy”? Zauważył moje zdenerwowanie. Objął ramieniem, wziął wymięte kartki z moich dłoni. „Tu jest moja wizytówka, proszę za trzy dni zadzwonić, porozmawiamy” — powiedział zmęczonym już głosem.

Jak długo wlekły się te dni! Miałem już parę niedobrych ocen — więc czego mogłem się spodziewać teraz?

Sporo minut upłynęło, zanim podniosłem słuchawkę; dla mnie była to eala wieczność. W końcu ze słuchawki przemówił ciepły, znajomy głos: „Halo, kto mówi? Ach, to pan... Nie, ale zapomniałem... będę w południe

w „Cyganerii” proszę przyjść, to porozmawiamy.

„Porozmawiamy”, a więc jest nadzieja, jest o czym. I tak zaczęła się ta znajomość i częste spotkania. Wprowadził mnie w tajemniczy, trudny, a zarazem fascynujący, świat poezji. W dwa lata potem wyjechałem z Katowic. Rzadko już wpadałem do tego miasta, ale gdy już je odwiedziłem, zawsze zaglądałem do lokalu Związku Literatów Polskich — i pytałem o pana Aleksandra. Kilkakrotnie spotykałem go później w kawiarni „Orbis”. Rozmowy, plotki, wspomnienia. Zawsze ciekawe i serdeczne.

Teraz już go nie ma. Nie zobaczę tej twarzy, której szukałem w tamtej dużej kawiarni. I teraz, gdy pojadę do Katowic, będzie go mi brak. Pozostało wspomnienie. Stolik. I ostatni zbiór opowiadań: „To on, niepokój”. Niepokój sytuacji, ludzi, czasów — minionych i współczesnych. Wojen domowych i wojny — oby — ostatniej. Niepokój, który był jego osobistym darem dla mnie i dla wszystkich, którzy umiemy się niepokoić.

JAN KULKA

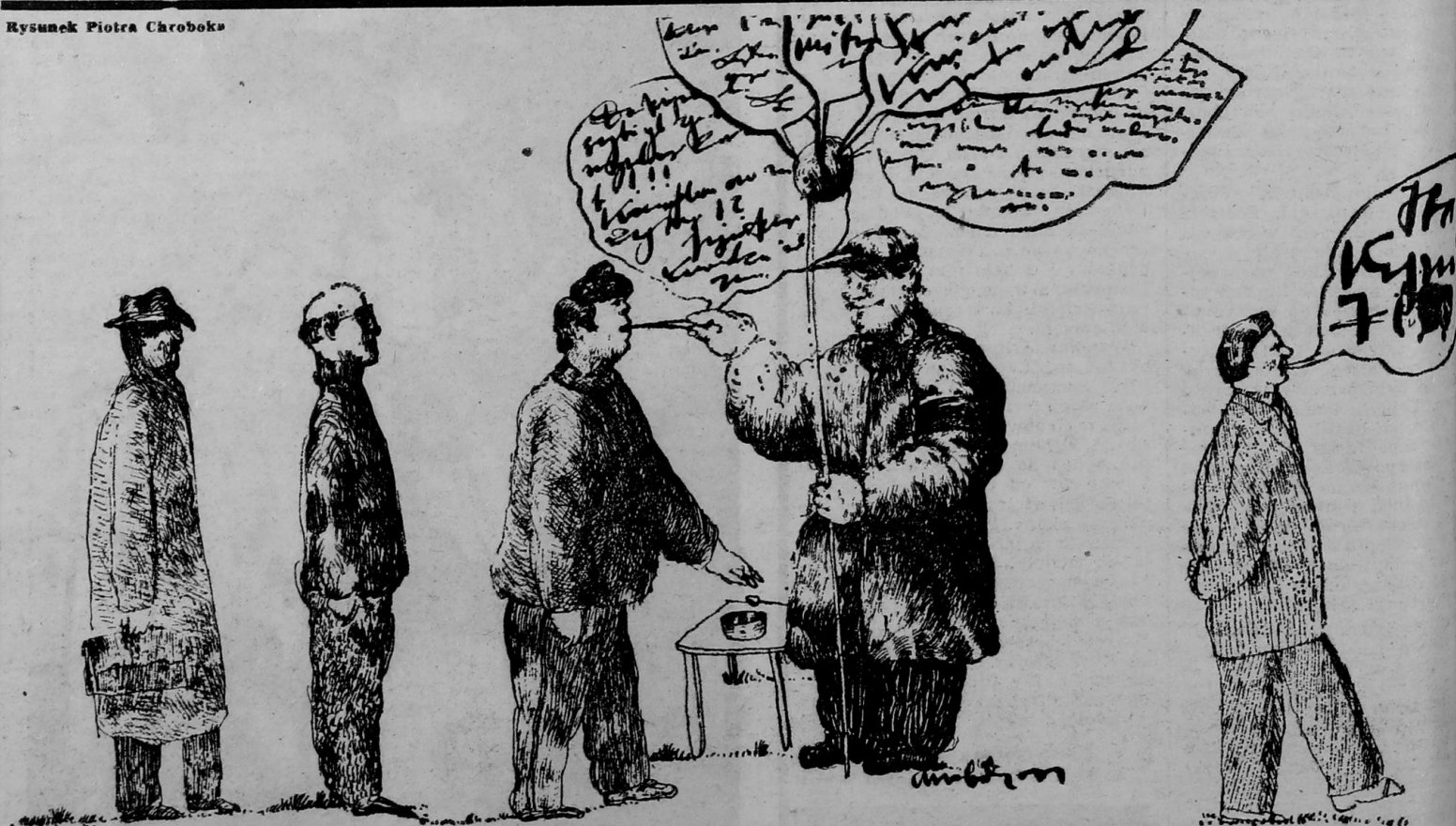
„Szukałem duszy podobnej
do mojej i nie mogłem znaleźć.”

(Lautréamont)

Aż tyle dróg i wszystkie od nas niby ocean
a jeszcze nie wiemy jaka będzie zima
bo nie znamy tyle z flory i fauny
w ciemnościach piekła pękają czołoty inne promienie
i nie wiemy od kiedy cierpimy na alergię światła w mieszkaniu
gdzie obok Bacha mamy w perspektywie kamienie
Jakże od dawna brak nam zbawienia i grzechu
bowiem nadal różni nas wiara w potrójne słońce tego kraju
którego nie pamiętamy już od czasu gryfa
mamy aby zakurzone lampy
i potrzebę rozmowy ze światem tymczasem jest ziemia
lecz i na niej cięża własne stopy
jeden palec w podróży
do mitycznego lasu wbiegamy
o starych kulach jak kaleki
każde z osobna — w przeciwną stronę
pod wiatr
myśląc że wiatr nie ma właściwej nazwy ani filozofii
— las jest najczęściej utopią
w którą jedynie wierzymy
z przypadku
chcemy być razem
lecz naprawdę marzymy
o samotności pod jakąś korą
i tworzymy problemy nawet
z powodu kurzu na lustrze
dlatego nie odróżniamy nigdy
śniegu od bielej na trawie
ni zwykłej gwiazdy od komety
i ciszy od skowytu psa
a mówią o nas poeci światła
chociaż zgasił już w nas ostatni płomień
i odpłynęła ostatnia fala z oceanu
któż więc uwierzy w jego łagodność
dla
gdy mówimy do siebie piorunem
i gdy przez chwilę jest tylko ziemia
i aż tyle dróg — a wszystkie od nas
bez zabiłanych jeźdźców

ALDONA BOROWICZ

Rysunek Piotra Chroboka



WIESŁAW KOŁOWSKI
STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

Obraz zaniedbania dopełnia „wyłysiałe” w jednej trzeciej boisko z rozpadającymi się ze starości, pozabijanymi bramkami, na których mokna, niefrasobliwie zostawione, siatki. Trybuna, która — jak mówią — kosztowała sześćset tysięcy złotych, obecnie zarosła rozmaitym zielskiem, tak że prawie nie widać znajdujących się na niej ławek. Krótko mówiąc: trybuna przypomina starożytne ruiny, jakie czasem pokazuje redaktor „Kontynentów” w Klubie Sześciu Kontynentów.

Wiele instytucji deklarowało klubowi pomoc transportową, lecz nie wszystkie dotrzymują obietnic. Bardzo często zdarza się tak, że dosłownie za pięć pierwsza w sobotę poprzedzającą wyjazd na zawody klub dowiaduje się, iż obiecanej wcześniej samochodu nie będzie. Z tego też powodu piłkarze oddali ostatnio



W ogóle pracownicy Ośrodka mają niemałe poczucie humoru: ostatnio przysłali „Warmii” do podpisania umowy, z której wynika, że klub powinien płacić za korzystanie ze stadionu i znajdujących się na nim urzędzeń. Jednakże w kasie klubowej pustawo, a właściwie ciągły deficyt, więc zarząd nie bardzo może

Zdzisław Jankowski, sekretarz „Warmii”, który urzęduje w domu lub w Miejsko-Gminnym Komitecie PZPR, jest pełen optymizmu i zapału. — Gdyby tak jeszcze klub miał kawałek własnego kąta, gdzie mogliby spotykać się działacze i zawodnicy — wzdycha.

przeniósł się z Wrocławia po- Henryk Gała, a Piotr Kunczew- wiąże się coraz ściślej z regionem (z „Kontaktów” wynika, że stał się stałym współpracownikiem). „Między Narwią a Bugiem” — Kopyrowski. „MOTYWY”, nr 28, 13 lipca: „O- tatnio wiele z nowych wojewód- rozpoczęło wydawanie własnych cz- sopolim. Stawiają pierwsze kroki- różna jest jeszcze ich wartość, a- tem i ich rola w środowisku. Z ty- większą więc przyjemnością zapo- zentuje dwa pierwsze numery zapo- żyńskiego Tygodnika Społecz- pisma PZPR, pt. „Kontakty”, kie- wystartowały wysmienicie. Moż- powiedzieć, że z kilku co najmn- względów trafiły w dziesiątkie- mają ogromną szansę odegrać wa- na rolę w rozwoju i integracji- województwa. Zaletą „Kontaktów- głębokie ich osadzenie w reali- województwa. Prawie wszystkie- tykuły mówią o ludziach i prob- mach Ziemi Łomżyńskiej.” „Laura dla „Kontaktów” Jo-

AT

Wynagrodzenie wg akordowego systemu płac.
Pracownicy zamiejscowi mają możliwość zakwaterowa-
nia w hotelu robotniczym. **Warunki pracy do omówienia**
w biurze Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego
w Łomży, ul. Nowogrodzka 1, pokój nr 5. ŁK 313

† K 313



24.07.1980 TV 30.07.1980

Łomża, kino „Październik”: 24-26 VII — „Chiński syndrom”, prod. USA (od lat 15); 27-29 VII — „Kobieta i kobieta”, prod. polsk. (od lat 15); 30 VII-1 VIII — „Mężczyzna z białym goździkiem”, prod. szwedz. (od lat 15).

Grajewo, kino „Relaks”: 24-25 VII — „Paciorki jednego różańca”, prod. polsk. (od lat 12); 26-28 VII — „Ale kino”, prod. USA (od lat 15); 29-31 VII — „Nie strzelać do nauczyciela”, prod. kanad. (od lat 15).

Kolno, kino „Wrzos”: 24-25 VII — „Wyspa skazańców”, prod. mek-

syk. (od lat 18); 26-27 VII — „Sekret Enigmy”, prod. polsk. (od lat 12); 28-30 VII — „Zemsta różowej pantery”, prod. ang. (od lat 12).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”: 24-25 VII — „Manolingo”, prod. włosk. (od lat 18); 26-27 VII — „Zemsta różowej pantery”, prod. ang. (od lat 12); 29-31 VII — „Ucieczka na Atenę”, prod. ang. (od lat 15).

Zambrów, kino „Kosmos”: 24 VII — „Tajemnica”, prod. franc. (od lat 15); 25-26 VII — „Żurawie przyleciały za wcześniej”, prod. radz. (od lat 12); 27-28 VII — „Miłość w deszczu”, prod. franc. (od lat 15); 29-30 VII — „Oddział specjalny”, prod. radz. (bez ograniczeń).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

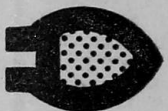


Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych): we wtorek i czwartki w godz. 11.00-18.00, w środy, piątki i soboty w godz. 10.00-15.00, w niedziele w godz. 11.00-15.00. **Wystawy:** „Epizody z historii Polski XVI i XVII wieku w malarstwie” — ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie; „Monety polskie w XVI wieku” — ze zbiorów własnych i członków PTAIN.

Park Etnograficzny Północno-wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie — Oddział Muzeum Okręgowego czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 11.00-16.00; wystaw-

9.00-16.00. **Wystawy:** 1) Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkaczki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerz z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodoła ze starym, drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi. 2) W Dworcu z Brzozek wystawa archeologiczna — „Pradzieje Nowogrodu”. 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik — życie i działalność”.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowie czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 9.00-16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00-19.00. **Wystawy stałe:** 1) „Dzieje rolnictwa” (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wewnątrz. **Wystawy czasowe:** 1) „Polska wieś drewniana w malarstwie”, 2) „Numizmaty Polski Ludowej”.



Galeria Jednej Fotografii, ul. Mariana Buczka 17 (witrina kwaciarni „Mimoza”): Bolesław Deptuła — „Siostry”.

Galeria Sztuki Współczesnej, ul. Scieżennego 1 (czynna codziennie — oprócz niedziel i dni świątecznych — w godz. 11.00-18.00, w soboty w godz. 11.00-16.00); wystaw-

wa akwareli Stanisława Kędziawskiego.

Łomżyńskie Towarzystwo Fotograficzne (hol hotelu „Polonez”): 1) Seppo Pikarinen (Finlandia), Zbigniew Sagan (Polska) — wystawa fotografii; 2) Łomża w fotografii Mieczysława Gregorka”. Ekspozycja czynna codziennie.

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświęconych — w godz. 12.00-18.00, w soboty i niedziele w godz. 13.00-16.00); „Wnętrze” — poplenerowa wystawa fotografii, Ciechanowiec 79.

ŁOMŻA 80, „Studenci Łomży, Łomża studentom”: wieczór z Bogdanem Rynkowskim, 26 VII, godz. 19.00, w sali WDK, i 27 VII, godz. 18.00, w sali Państwowej Szkoły Muzycznej; koncert zespołu „Sun Ship”, 29 VII, godz. 20.00, w sali WDK.

W RAZIE POTRZEBY

44-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1

OGŁOSZENIA DROBNE

FIATA” 125p (1973 rok) — tanio sprzedam. Biały, Szosa do Jezewa 101 m 17.

FIATA” 126p (rok 1980) — sprzedam. Lucyna Kozłowska, Łomża, Słowackiego 6/54. Łg 3056-00



PRZEDSIĘBIORSTWO EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO „Pewex” z a w l a d a m i a

do dnia 30.IX.1980 r. trwać będzie sezonowa wyprzedaż peruk damskich pochodzenia japońskiego

PERUKI — w różnych fasonach i kolorach wykonane są z włókna sztucznego na przewiewnej siatce.

ZAPRASZAMY DO NASZYCH SKLEPÓW.

ŁK 3069-0

Czwartek

24 lipca 1980 r.

PROGRAM I

8.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
13.30. Teleferie: „Nieobozowa Akcja Letnia” oraz „Wojna planet”, odc. pt. „Zastępy mechanicznych mrówek” — amerykański film telewizyjny.
15.20. Obiektów.
15.40. Dziennik Telewizyjny.
15.55. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
19.00. „20 minut z Orkiestra Vasilava Zahradnika” — program estradowy.
19.20. Dobranoc.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Powrót Świętego”, odc. pt. „Procy sen” — angielski film telewizyjny (kryminalny).
21.15. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
23.00. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

11.00. Wieczór filmowy — „Lubuskie Lato Filmowe”.
12.10. Dziennik Telewizyjny.
16.00. Język rosyjski.
16.30. „Stolica walczy” — program muzyczny.
17.00. „Popołudnie wiedzy i fantazji”.
19.10. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Nurt. Nauczanie początkowe: 1) środowisko społeczno-przyrodnicze, 2) wychowanie muzyczne.
21.10. 24 godziny.
21.20. Pegaz.
22.05. Wieczór filmowy — „Lubuskie Lato Filmowe”.
23.05. Nurt. Nauczanie początkowe: plastyka.

Piątek

25 lipca 1980 r.

PROGRAM I

8.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
13.30. Teleferie Najmłodszych: „Cuda-czek” oraz zestaw filmów animowanych.
14.30. Obiektów.
14.50. Dziennik Telewizyjny.
15.05. „Wakacje” — odc. III pt. „Wszystkie drogi prowadzą do Gorzyjalek”, polski film telewizyjny.
15.55. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
19.20. Dobranoc.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Na estradach świata — „Bruno Coquatrix i jego Olimpia”, program rozrywkowy; wystąpią: Gilbert Becaud, Charles Aznavour, Enrico Macias, Sacha Distel, Juliette Greco, Jacques Brel, Liza Minelli, Dalida, Ella Fitzgerald i in.
21.20. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
23.00. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

11.00. „Wakacje” — odc. III pt. „Wszystkie drogi prowadzą do Gorzyjalek”, polski film telewizyjny.
12.00. Dziennik Telewizyjny.
16.00. Język francuski.
16.30. „Legenda tatrzańskich szczytów” — Mięszowickie.
16.45. „Estrada folkloru” — muzyka ludowa Beskidu Żywieckiego.
17.15. „Ziemia księżniczki Lusi” — radziecki film fabularny.
18.10. „Mistrzowski interpretacje” — program muzyczny.
19.10. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Życie obok ringu” — francuski film telewizyjny (obyczajowy), odc. III.
21.20. „Wszystko za wszystko” — ze znanym działaczem i organizatorem Festiwalu Opolskiego, Karolem Musiolem.
22.20. 24 godziny.
22.35. „Sen na jawie” — recital Tony Rolanda, hiszpański program rozrywkowy.

Sobota

26 lipca 1980 r.

PROGRAM I

8.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
15.00. Program dnia.
15.05. Radar.
15.20. Obiektów.
15.40. Dziennik Telewizyjny.
15.55. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
19.20. Dobranoc.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Pogoda dla bogaczy” — odc. XVII amerykańskiego filmu telewizyjnego.
21.05. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
23.00. Dziennik Telewizyjny.
23.15. „Pociąg dla Durango” — western produkcji włoskiej.

PROGRAM II

15.55. „Lato w Dwójce”.
16.00. „Uśmiech spod parasola” — program rozrywkowy.
16.40. „Egzamin” — bułgarska komedia obyczajowa.
17.35. Telekino sprzed lat — „Wojna domowa”, odc. I polskiego filmu telewizyjnego w reż. Jerzego Gruzy.
18.10. „Śladami Marco Polo” — część III włoskiego filmu dokumentalnego.
19.10. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
20.45. „Co słychać?”
21.05. „Romans biurowy” — część I komedii radzieckiej.
22.30. Panorama jazzu polskiego.

Niedziela

27 lipca 1980 r.

PROGRAM I

7.00. TTR — zajęcia wakacyjne, semestr I i V.
7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytura dla rolników.
8.20. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
8.55. Program dnia.
9.00. Kino Telerranka: „Pierścienie Almazora” — radziecka baśń filmowa.
10.05. Antena.
10.30. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
13.25. Dziennik Telewizyjny.
13.40. Rolnictwo rozmawia.
14.10. Z kamery wśród zwierząt.
14.35. Tele-Echo.
15.35. Losowanie dużego lotka.

15.50. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Wichrowe wzgórza” — odc. IV angielskiego filmu telewizyjnego.
21.10. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.

PROGRAM II

9.55. Na raketowym poligonie — program wojskowy.
10.20. Przeboje tygodnia.
12.05. Teatr Telewizji — Siegfried Lenz: „Ludzie bez winy” w reż. Ireny Wollen.
13.30. Popołudnie fauny i flory.
15.10. „Wszelchnocna siła sztuki” — radziecki film telewizyjny.
16.20. „Twiggy” — program rozrywkowy.
16.50. Teatr Telewizji — Emlin Williams: „Prawdziwie niewinna buźka dziecka” w reż. Jerzego Wasiecznyńskiego.
18.10. Świat na ekranie: „Tajemnica wielkiej piramidy” — film dokumentalny.
18.50. Szanujmy wspomnienia.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
21.10. „Sierżant Anderson” — „Perfidny proceder” — amerykański film kryminalny.
22.00. Spotkanie z gwiazdą — Garry Roocer.

Poniedziałek

28 lipca 1980 r.

PROGRAM I

8.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
14.00. Teleferie, m in. „Niezwyczajna piątka” — angielski film przygodowy.
15.15. Program dnia.
15.20. Obiektów.
15.40. Dziennik Telewizyjny.
15.55. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
19.00. Piosenki Studia Gama.
19.20. Dobranoc.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Teatr Telewizji — Siegfried Lenz: „Ludzie bez winy” w reż. Ireny Wollen.
21.35. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
23.00. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

11.00. „Zdolny do wszystkiego” — komedia produkcji radzieckiej.
12.05. Dziennik Telewizyjny.
16.25. Program dnia.
16.30. Język francuski, lekcja 16.
17.00. „W świecie i o świecie” — blok programowy, poświęcony Polonii, pt. „Z polskiej ziemi”.

Wtorek

29 lipca 1980 r.

PROGRAM I

10.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
13.30. Kino Teleferie: „Stawiam na Tolka Banana” — polski film seryjny.
14.45. Program dnia.
14.50. Telewizyjny Klub Seniora.
15.20. Obiektów.
15.40. Dziennik Telewizyjny.
15.55. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
19.00. „Wirujące nutki” — program rozrywkowy.
19.20. Dobranoc.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Starszy syn” — część I radzieckiej komedii obyczajowej.
21.20. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
23.00. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

11.00. „Starszy syn” — część I radzieckiej komedii obyczajowej.
12.05. Dziennik Telewizyjny.
16.25. Program dnia.
16.30. Język rosyjski, lekcja 10.
17.05. Ekran reporterów.
17.30. „Pawel i Wirginia” — odc. VII francusko-szwajcarskiego serialu przygodowego.
17.55. „Muppet show” — program rozrywkowy.
18.20. „Skojarzenia” — teleturniej.
18.50. Studio Kwadrans.
19.20. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Wtorek Melomana.
21.10. 24 Godziny.
21.20. „Świadkowie”.
21.40. Teatr Wspomnień — monodram o współczesnym twórcy ludowym, baskim kłótniarzu, Andrzeju Wowrze, reż. Piotra Piaskowskiego; wykonawca: Wojciech Siemion.
22.45. „Kształt słowa”.

Środa

30 lipca 1980 r.

PROGRAM I

8.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
13.30. Teleferie Najmłodszych: „Podróż z nami” oraz „Jana z dzungli” — film animowany.
14.35. Program dnia.
14.40. Obiektów.
15.00. Dziennik Telewizyjny.
15.15. Losowanie ekspres- i małego lotka.
15.25. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
19.20. Dobranoc.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Starszy syn”, część II radzieckiej komedii obyczajowej.
21.25. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
23.00. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

11.00. „Starszy syn” — część II radzieckiej komedii obyczajowej.
12.10. Dziennik Telewizyjny.
16.25. Program dnia.
16.30. Język francuski, lekcja 17.
17.00. Program morski.
17.20. Człowiek i środowisko.
18.10. Sprawy młodych: „Długa noc posłubna” — polski film telewizyjny (obyczajowy).
19.10. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Telewizyjny music hall” — program rozrywkowy.
21.10. 24 Godziny.
21.20. Film telewizyjny na świecie: „Ucieczka” — fiński dramat obyczajowy.

Łomżyński tygodnik społeczny, pismo PZPR, REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefan Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Marek Roński — sekretarz redakcji, Lech Giełbach, Wiesław Kotowski, Danuta Sobolewska, Aleksander Wronieński, Stanisław Zieliński — fotoreporter, Gabor Lőrinczy, Redaktor graficzny — Iwona Sielska, Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel, Korkuta — Elżbieta Słupska, STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartosz, Jerzy Bielecki, Irene Bielecka, Jerzy Brodzki, Wiesław Janicki, Marek Jaworski, Henryk Kin, Klemens Krzyżagórski, Jan Kulka, Piotr Kunciewicz, Marek Kusiba, Franciszek Płakowski, Zbigniew Siedlecki, Stanisław Świerad, Andrzej Tchorzowski, Mieczysław Wodnicki, KONCEPCJA GRAFICZNA: — Marek Goebel, ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża, telefon — 40-22, telex — 85329 WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Kombin. Wydawniczo-Kolportażowy w Białymostku, Białostockie Zakłady Graficzne zam. 1118/80, Nakład 20.000 egz.

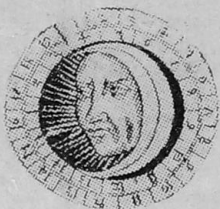
KONTAKT

JULIAN TUWIM SPLEEN

Ze znużenia, ze znużenia
Pusto, sennie, mdło.
Neurocholia? melanstenia?
Diabli wiedzą co.



Gdybyż w innej być mieścinie,
Bo w Warszawie źle...
W Pajtuliskach? w Bambierzynie?...
Diabli wiedzą gdzie.



Byłoby też doskonale
Lata puścić wspan.
Chętnie bym to zrobił, ale
Diabli wiedzą jak?



Zając by się jakaś... praca...
Mracja... czy ja wiem?
Pempologia? alansacja?
Diabli wiedzą czym.



Siadłbym z jakimś byczym chłopem,
Pogawędziłbym.
Z księdzem? Żydem? czarłem? po-
pem?

Diabli wiedzą z kim.



Może wylazłby z rozmowy
Jakiś zdrowy sąd?
Może z serca, może z głowy,
Diabli wiedzą skąd.



Ziewam, dumam żałośliwie,
Ze... że co? że pstro?
Owszem, może... lecz właściwie
Diabli wiedzą co.

„Dziennik Ludowy” notuje: W cią-
gu ostatnich dwóch lat na terenie
województwa łomżyńskiego odbyło
się 57 gminnych sejmików młodych
rolników, w których uczestniczyło
1317 rolników. Wymiernymi efekta-
mi tych spotkań było zwiększenie
o 893 sztuki pogłowia bydła, o 1824
sztuki pogłowia trzody chlewnej.
Młodzież mamy zdolną.

Barbara Brach na łamach „Kobiety
i Życia” stwierdza, że pleć, a
zwłaszcza obyczajowość określa
przydatność do pewnych prac. Są

WYWARY WSPÓŁCZESNE

inne szczegóły dotyczące giełdy
specjalistów „Łomża - 80”.

Po wymianie bydła na ncb nie za-
przestali pracy hodowlanej i wkrótce
posypały się medale oraz dyplomy — relacjonuje na gorąco z za-

grody „Chłopska Droga”. Jest rów-
nież o przyroście mięsa i mleka.

„Tygodnik Kulturalny” wyraził
przypuszczenie, że znachorzy w wo-
jewództwie łomżyńskim wymarli
śmiercią naturalną prawie do osta-
tniego.

Zenon Piechociński w „GW” doko-
nał podziału terenowych pracowni-
ków k.o. od wyszczekanego cwania-
ka po łamagi, które wylewają ka-
wę na głowę prelegenta. Duży wy-
bór, trudny wybór.

UROKI GMINNE CZAR NIKLOWEGO AMULETU

Afrykański kacyk z budzikiem na
szyi, plemię czające Huczącego Pta-
ka, czyli poprostu samolot przywo-
żący „Marlboro” i morelowy kompot
w puszkach — to są ekstrawagancje
ludzkości, która równocześnie budo-
je atomowe elektrownie i boi się
pioruna. Żeby się o tym przekonać
nie ma potrzeby sięgać do relacji et-
nografa z afrykańskich podróży, wy-
starczy na ulicy spotkać kominarza,
czarnego kota, albo nie daj Boże
kobietę z pustymi wiadrami. Współ-
czesny, w miarę oświecony Europej-
czyk łapie się za guzik, odpukuje w
niemalowane i pilnie śledzi wszy-
stko co dotyczy i późnoromantyczne-
go potwora z Loch Ness i latającej
awangardy, czyli UFO.

Łomża również leży, jakby to po-
wiedział Jerzy S. Wasilewski, autor
„Podróży do piekiel”, na mapie sza-
manizmu. Dowodzi tego historia sek-
ty uprawiającej kult medycznego
instrumentu.

Zdarzyło się nie w ubiegłym stu-
leciu, lecz przed niespełną trzema
laty w czasie krajowego przeglądu
placówek zdrowia, którego celem by-
ło sprawdzenie stanu i stopnia me-
dycznej aparatury. Wojewódzki Wy-
dział Zdrowia w Łomży nie stwier-
dził wówczas żadnych nieprawdło-
wości i uchybień, ale kontrola NIK-u,
gdzie nie wierzą w cuda, przyniosła
w dwa lata później odmienne rezul-
taty. Tylko w dwóch, przebadanych
na tę okoliczność ZOZ-ach, odkryto
dwieście różnych urządzeń medycz-
nych i gospodarczych nie rozpakowa-
nych od dnia zakupu. Instrumenty
potraktowano z taką czcią i nabo-
żeństwem, że nikt ich nie śmiał
tknąć, a o wsadzeniu instrumentów
w ucho, gardło, że o innych miej-
scach nie wspomnę — mowy być
nie mogło. Wartość niklowanych a-
muletów łomżyńskiej sekty świętego
Diagnostyka obliczono na dwa i pół
milionu złotych. To wynosi drożej
niż ekstrawagancje kacyka z buszu,
nawet gdyby gustował w budzikach
szwajcarskich.

Akcja toczy się tym razem w pobli-
żu Kwatery Głównej diabła Nar-
wiańskiego, która mieści się pod
samotnym krzem na bezkresnych,
jednak ograniczonych, łomżyńskich
puliach

SUPRASKI: Niczego wata ta smo-
łówka. Który jo przywióz?

NARWIAŃSKI: Na diabła wam to
wiedzieć, pijcie, jeśli wam smakuje,
i koniec.

SUPRASKI: Na ząb czego nie ma-
cie, a?

NARWIAŃSKI: Niestety. Nie mam
czasu stać w kolejkach. Roboty ty-
le, że niech to diabli wezmą. Ostat-
nio wziąłem się za komunikację. Nu-
mery rejestracyjne tak pomiesz-
lałem, że i sam diabeł teraz nie do-
jdzie. Po trzy pojazdy mają takie sa-
me tablice.

(Ni stąd, ni zowąd wewnątrz kwa-
tery rozlega się dwugłosowy śpiew)

My, diabelskie nasienie,
ugasimy pragnienie.
Za pół litra — stówka —
niechaj żyje smołówka!

SUPRASKI: Czego oni dro sie? Je-
szcze nam kogo na kark sprowadzo.

NARWIAŃSKI: Izby wytrzeźwień,
póki co, u nas nie ma...

SUPRASKI: Ajajaj! Żeb w woje-
wódzkim mieście izby nie było, str-
aszne rzeczy!

NARWIAŃSKI: Zrobi się. Poma-
lutku dojdziemy do wszystkiego.
Światła tu i ówdzie na ulicach po-
zakładalem. Jeszcze za mało ruch
tamują w mieście, ale jak ich bę-
dzie więcej, to dopiero zobaczycie.

(Spod krzów wylazi diabeł Biebrzań-
ski, rozgląda się niezbyt przytomnie

wkoło, wreszcie dostrzega Supra-
skiego z Narwiańskim)

BIEBRZAŃSKI: O! Kogóż ja wi-
dzę? Makroregionalny diablunio się
zjawił. Chcecie, na przykład, dostać
w ryja?

NARWIAŃSKI: (szepem) Nie mó-
wiłem? Mało, że niepotrzebny, to
jeszcze cham.

SUPRASKI: Kuliego, zbyt pochop-
nie wy oceniacie. Toż widzicie, że
diabeł trochę nabrany, a że cham,
to i dobrze. Na co nam kulturalne
dziabły?

BUZAŃSKI (wylazi za Biebrzań-
skim spod krza i recytuje):

MINI-KABARET PIEKIEŁKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Czarna smoła, rozpacz czarna —
Dupa gola, rzyć koszmarna, hej!
BIEBRZAŃSKI: Uszy wiedna, słu-
chać hadko, idź do diabła z taką
gadką.

NARWIAŃSKI: Koledzy! Co u
diabła, gdzie ja właściwie jestem?
Czy to poważne spotkanie, czy klub
literacki? Bo muszę wam powiedzieć,
kolego Supraski, że w swojej dzia-
łalności jestem bliski doprowadzenia
także do upadku pobliskiej wioski
literackiej.

BIEBRZAŃSKI: Diabła tam! Prze-
cież ona — na dobrą sprawę — je-
szcze nie powstała.

NARWIAŃSKI: O to właśnie cho-
dziło. Więc proszę mi tutaj nie po-
tyzować, bo się zaczęły denerwować.

BUZAŃSKI: O! Nawet się rymem
wyróża!

SUPRASKI: Musi u was w Łomży
taka literacka atmosfera panuje czy
co?

NARWIAŃSKI: Co prawda, to
prawda. Jest tu paru potajemnych
literatów, będą ich musiał rozrodko-
wać. Jednego, za przepraszaniem, u-
dało mi się już wam odesłać, kole-
go Supraski.

SUPRASKI: O! Właśnie chciał ja
wam za jego podziękować, kuliego...
Chaliera! I mnie się do rymu powie-
działo, choć wcale się nie chciało.
Jakiś wpływ majo na diabłów te le-
teraty.

BIEBRZAŃSKI: No! Uważajcie wy
na kontakty, kolego Supraski.

SUPRASKI: Prawda. Muszę ja
uważać, jeszcze mnie z rozumu wez-
no i sprowadzo. No, daje to smo-
łówkę (charakterystyczny gulgot, ja-
ki towarzyszy rozlewaniu gęstego
pijnu) Perswaduje w wasze rency.
Pijem za zdrowie właściwych
kontaktów.

NARWIAŃSKI: Bynajmniej!

BIEBRZAŃSKI: (pije): Hu! Z cze-
go ta smołówka, kolego Buzański? Z
cukru?

BUZAŃSKI: A skądże. Sam jes-
tem, jeden bon mi tylko przysługi-
wał. No, to jeszcze po jednym.

(Diabły piją i zaczynają śpiewać)

Hej, kontakty diabelskie,
przy nich życie będzie sielskie,
Zbieraj, człeku, z nami fakty —
my zrobimy z nich kontakty.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY